Nr. 30. Warszawa, dnia 15 (27) Lipca 1895 r. Rok XV.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
wraz z bezpłatnym dodatkiem:

W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2. k. 50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Żórawia Nr. 34.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub [illegible]

POLITYKA.

ŚMIERĆ STAMBUŁOWA.

Dnia 14 sierpnia 1887 r. książę Ferdynand Koburg-Gotha-Cohary, porucznik czy kapitan w honwedach węgierskich, o którego istnieniu wiedział tylko „Almanach“ gotajski, wskutek niezmordowanych starań, zabiegów i wysiłków jednego z ówczesnych regentów Bulgaryi odbywał wjazd do starożytnej stolicy kraju jako książę, mający w nim panować. Ten sam człowiek, który go na tronie osadził, później, przez lat siedem bez mała, wśród niesłychanych trudów, przykrości i niebezpieczeństw — tronu jego bronił i silną swoją wolą, twardym, jak dyament, umysłem, umiał tysiączne przełamywać przeszkody, byle tylko stan raz wytworzony utrzymać w jaknajdalszą przyszłość. Nagle w maju 1894 r. temu samemu człowiekowi książę Ferdynand wypowiedział służbę, a uczynił to w sposób brutalny, używany chyba tylko wtedy, kiedy pan schwyta ekonoma swego na kradzieży w śpichlerzu. Cały świat zaskoczyła ta tajemnicza dymisya jak nierozwiązana zagadka. Dyplomacya może w części ją odgadła; ale zwykli śmiertelnicy, po nizinach ziemskich chadzający, do obecnej jeszcze chwili nie znają rzeczywistej przyczyny przewrotu, po którym zaraz przyszli do władzy przeciwnicy polityczni i osobiści nieprzyjaciele odpędzonego od rządów, a on sam, wczoraj jeszcze duch ożywiający wszystko, odrazu w świecie nowej doby z mocarza stał się przestępcą i więźniem — we własnym domu, przedmiotem urzędowej nienawiści i wzgardy.

Dziś ten człowiek, któremu książę Ferdynand Koburski zawdzięcza swój niespodziewany awans na księcia Bulgaryi, jest już więźniem grobu na cmentarzu sofijskim, a książę w dalszym ciągu zażywa kuracyi w Karlsbadzie i przygotowuje może nową seryę odkryć i zwierzeń w wydawnictwie, które podjął był obecnie w Wiedniu dla zniesławienia swego dobroczyńcy. Dziwić się nie można, że nie pozwolił ani urzędnikom cywilnym, ani wojskowym wszelkich stopni uczestniczyć w pogrzebie, bo rodzina zmarłego już wtedy, kiedy śmierć stała jeszcze u wezgłowia, odrzuceniem ceremonialnych objawów współczucia wyrządziła księciu osobistą a dojmującą zniewagę. To tylko niepojętem się staje, jak mógł książę, jeżeli ma rzeczywistą władzę, nie wpłynąć na swoich ministrów, jak mogli ministrowie w samych sobie nie znaleźć wpływu, pobudzającego do zapewnienia zwłokom przynajmniej czci, wrodzonej nawet społeczeństwom barbarzyńskim. To, co się działo w Sofii w sobotę d. 20 lipca 1895 r. — na pogrzebie człowieka, który — przez długie lata był pierwszym w swym narodzie, wymyka się z pod wszelkich porównań. Wiek dziewiętnasty pierwszy raz patrzał na podobny pogrzeb męża, należącego do historyi.

Tu już zamilknąć była powinna polityka, przygasnąć osobista nienawiść: tu chodziło już tylko o porządek, o prawo, o honor narodu cywilizowanego i chrześciańskiego i jego rządu, jego ludzi przewodnich. Nikt o tem nie wątpił od pierwszej już chwili, że przy owej nagłej zmianie dekoracyi, przed zapuszczeniem nawet jeszcze kurtyny na scenie sofijskiej, w maju 1894 r. — kierowały księciem koburskim pobudki polityczne — rozumne lub niedorzeczne; każdy też zostawił odrazu w umyśle swoim miejsce na przypuszczenie, że książę mógł łatwo doznać od swego ministra ujmy na honorze w jakim sądzie, sprawiedliwie wydanym, ale zbyt głośno wypowiedzianym. Ani polityka jednak, ani honor osobisty, tak ministrów, jak samego księcia, nic nie poradzą na hańbę sobotniego pogrzebu. Rozpasanie nawet krępować się musi pewnym w naturę już samą wszczepionym wstydem: tutaj pohulało już sobie bez wstydu. Ludowi wolno było politykować wyciem, pazurami i kopytami; ale ministrom nie było wolno usuwać się od pogrzebu tak już doskonale, ażeby nawet nie pomyśleć wcale o zabezpieczeniu go od motłochu.

Czy rzeczywiście z ubyciem wroga przybyło księciu bezpieczeństwa i trwałości na tronie bulgarskim? Czy jest on dość naiwnym, aby wierzył, iż go Europa teraz, po 15-miesięcznej nowej erze ze Stoiłowem i Naczewiczem, uzna? Czy ma dość rozsądku, aby dostrzedz, że w położeniu jego istotnem nic się nie zmieniło, ani przez zamordowanie Stambułowa, ani przez wysłanie deputacyi z metropolitą Klemensem na czele? Wypadek ze Stambułowem — nie mógł mu dodać ani dobrego prawa, ani uroku, a wysłanie metropolity dla niego samego, dla księcia, może mieć skutek prostej tylko wizyty grzeczności. Zyskać, zarobić — może Bulgarya, ale nigdy książę Koburski. Jego los, po oddaniu się prądowi, który rwie wszystko od maja 1894 r., może być tylko jeden: „Precz z Bulgaryi.“ Jest to wyrok nieodwołalny i żadne umizgi i uśmiechy nic na to nie pomogą. Europa może walczyć o Bulgaryę; ale o księcia Ferdynanda Koburskiego gorąco nawet spierać się nie będzie: nie ma o kogo.

Standard Salisbury'ego najtrzeźwiej ze wszystkich spojrzał w wypadki i dostrzegł kłębiącą się w nich konieczność. Dziś już sprawa tak stanęła, że Bulgarya swoją drogą, a książę swoją: dla dzisiejszej Bulgaryi książę jest tylko przeszkodą; nie jest też pomocą i dla Europy, która spodziewała się po człowieku, na tron bulgarski powołanym, iż jeśli nie może mieć rozumu stanu, będzie miał przynajmniej instynkt zachowawczy; tymczasem on dobrowolnie się go zaparł i teraz już nie ma ocalenia. Za rok czy jutro — ustąpić musi. Powiedziała mu to Rosya już odrazu, powie wkrótce Europa i sami bulgarowie nie będą się ociągali ze zdjęciem mu katarak-

ty z oczu. Własni ministrowie zrobią z nim to, co spotkało Aleksandra Battenberskiego 21 sierpnia 1886 r. Wartoż było sięgać po złoto runo władzy na to, aby z niego dostać marny kłak tytułu, urzędownie nawet przez Europę nieuznanego! Prawdziwie, lepiej było zostać nadal honwedem;—dziś nosiłoby się już może szlify generalskie,—a gdy się ma pierś skrojoną na miarę krawca, nie Fidyasza, lepiej jest w każdym razie, wdzięczniej i bezpieczniej być generałem honwedów węgierskich, niż *quasi* księciem Bułgaryi.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Wrażenie, wywarte przez sam zamach morderczy, wzmocnił skon Stambułowa. Na trumnę poprzysyłano wieńce: królowa angielska i cesarz austryacki. Objawy żałości ze strony księcia Ferdynanda Koburskiego tak za życia jeszcze, jak po skonie, wdowa i siostra odrzuciły, i umyślny adjutant, Foras, przynosząc wieniec na trumnę od człowieka, uważającego się za panującego księcia Bułgaryi, przynosił zarazem w samem nazwisku swojem zły *omen*: musiał odejść z kwitkiem: pani Stambułowowa nie przyjęła tej oznaki czci nieszczerej, teatralnej, niezgodnej z postępowaniem Koburczyka. Rzecz prosta, że na zniewagę taką książę odpowiedział zakazem udziału w pogrzebie, wydanym do wszystkich w wojskowej lub cywilnej służbie zostających, a p. Stoiłow, prezes ministrów, zrozumiał znowu ten zakaz tak radykalnie, że nawet policyę nim ogarnął i na pogrzeb w sobotę 20 b. m. wcale jej nie posłał. Ten radykalizm osobliwszy dał jakby pobudkę bojową licznym wrogom nieboszczyka w Sofii. Tłumami całymi rzucali się na kondukt: wydzierali wieńce, rozpędzali, bili, deptali, nie szanując nawet przedstawicieli ciała konsularnego. Jeszcze i na cmentarzu nie zostawiono zwłokom spokoju. Policya, późno wezwana i sama politykująca, okazywała się bezsilną.

P. Stoiłow, pomimo tej napaści na orszak pogrzebowy — widowisko dawno nie oglądane w Europie — twierdzi, że zabójstwo powstało z czysto-prywatnej zemsty za rozstrzelanie majora Panicy, którego ongi sekretarz, Beno Georgiew, jako jeden ze sprawców, znajdować się ma już w więzieniu, a przynajmniej do więzienia rzeczywiście wzięty został. Innego poszlakowanego, Atanasa, macedończyka, policya bułgarska szuka; jeden uciec miał do Zagrzebia, gdzie go jednak niema; dwóch: Hałew (Gału) i jakiś drugi ukryło się niewiadomo gdzie. Podobno uwięziono i owego Tiufekczyowa, którego wskazał był jeszcze sam Stambułow, i jakiegoś studenta Iwanowa, który dopomagał w zbrodni, ale nic pewnego o tem powiedzieć nie można. W każdym razie śledztwo urzędownie jest w biegu—dotychczas wszakże niedaleko się posunęło. P. Stoiłow uspokaja agentów dyplomatycznych zapewnieniem, że sprawiedliwość bułgarska dużo już zrobiła i—wychyli swą czarę do dna. Pierwszy minister księcia Koburskiego (mającego używać aż do 15 sierpnia kuracyi w Karlsbadzie) przeprosił ciało dyplomatyczne w Sofii za zniewagi sobotnie, zwalając winę na rodzinę zamordowanego, która nie chciała dopuścić policyi: jak gdyby ochronne funkcye policyjne, publiczne, zależeć mogły od woli prywatnej jednostek lub rodzin, chcących lub nie chcących policyi na pogrzebach!

Powstanie macedońskie jest ruchem małego znaczenia militarnego, ale dużego symptomatycznego. Ochotnicy macedońscy ćwiczyli się publicznie na placu pod Sofią. Dopóki Stambułow żył, p. Stoiłow uważał go za podżegacza i kierownika. Teraz przyznaje, że ruch jest, lecz zaledwie 200 ludzi go podtrzymuje, a granica bułgarska tak szczelnie jest zamknięta, dzięki p. Stoiłowowi, że mysz by się nawet przez nią nie przecisnęła, a cóż dopiero człowiek! Może być zatem Europa spokojną.

Ces. Franciszek Józef zaprosił do siebie ks. Hohenlohego do Ischl i długo z nim, 20 lipca, o polityce rozmawiał, oczywiście nie tak, jak się rozmawia w klubach. Spotkają się i obaj monarchowie na jesieni r. b. Czy przyjdzie teraz do zjazdu ich ministrów, wyznaczanego w Aussee? Prawdopodobnie — nie.

D. 20 b. m. austryacka Rada państwa uchwaliła w trzeciem głosowaniu ogół budżetu państwa i przyjęła go 185 głosami przeciwko 86-u, złożonym przez część lewicy niemieckiej, niemców zajadłych (Deutschnational) i antisemitów, jeszcze zajadlejszych. Niemiectwo pobite już się układa w nowe grupy parlamentarne. Gimnazyum cylejskie stało się zatem fermentem ważnym dla przyszłości stronnictw przedlitawskich.

Na Madagaskarze francuzom nie powiódł się d. 18 b. m. atak na warowne stanowisko howajów nad rzeką Betsiboka. D. 20 miał gen. Duchesne całą już siłą przypuścić go ponownie. Dyzenterya, febra i tyfus robią w szeregach francuskich spustoszenie coraz większe.

W Wielkiej Brytanii i Irlandyi było do 24 b. m. wybranych 383 unionistów (zachowawców i liberalnych odstępców), 139 liberalnych, 75 irlandczyków (10 parnelistów) i 2 przedstawicieli robotników. Do wybrania pozostawało jeszcze 71 posłów.

Pożyczka chińska, poręczona przez Rosyę, 400 milionów wynosząca, doszedłszy ostatecznie do skutku, znalazła tylu chętnych kapitalistów, że zapisy na nią są dwadzieścia razy wyższe od sumy żądanej.

Japończycy stoją jeszcze na półwyspie Lia-tong i na Korei. Na Formozie „czarne flagi" stawiają im ciągle opór.

Cesarz niemiecki nie wrócił jeszcze ze Szwecyi. Opóźni swój powrót i d. 26 b. m. nie będzie w Putbus. Dnia 23 b. m. znajdował się Wilhelm II w Nyland. D. 27 b. m. będzie już u siebie, w Sassnitz, d. 3 sierpnia zawinie do Cowes, d. 10 sierpnia zjedzie do lorda Lonsdale w Westmorelandzie. W drugiej połowie sierpnia rozpocznie wizyty wojskowe.

BADANIA NAUKOWE.

DO JASNEJ GÓRY.

III.

Rzecz charakterystyczna, ilekroć zdarzyło nam się odczytywać opis świętej uroczystości, jakiej widzem był p. Wł. Reymont, zawsze otrzymywaliśmy te same wrażenia. Pątnicy islamscy w swojej pielgrzymce przedstawiają takie, może nawet jeszcze głębsze rysy, taką samą ufność i wiarę, która uzdrawia w niektórych chorobach; hindusi,

---

A. ŚWIĘTOCHOWSKI

DUCHY.

CZĘŚĆ TRZECIA.

ZWIASTUN.

Widok 12

Skit przygotował tyle i tak rozmaitych rozrywek w namiotach, budynkach i na otwartem powietrzu, że goście Datali zaledwie nadążyć mogli w czerpaniu z nich uciechy. Tu uczone łabędzie tańczyły przy dźwiękach piszczałki, tam atleci toczyli z sobą zapasy, gdzieindziej węże tworzyły słupy ze swych zwojów lub wiewiórki jak strzały przeskakiwały przez szereg żelaznych pierścieni. Głębiej do lasku wsunięto szałas drewniany, gdzie słynne dowcipem towarzystwo aktorów odgrywało dyalogi komiczne z życia bogów. Skit uzyskał pozwolenie na tę zabawę od kapłanów pod warunkiem, że dla nich urządzi na boku widowni zamkniętą lożę, z której niewidziani przez nikogo, mogliby napawać się również przedstawieniem. Przybyła na nie przeważnie młodzież męzka, gdyż starsi sromali się żartami z władców nieba. Dziś miały wystąpić na scenę *Żony bogów*. Jeden z aktorów objaśnił uprzednio, że one zbiorą się na najbardziej oddalonej od ziemi gwieździe, ażeby pomówić o swoich wspólnych troskach. Po tym prologu wpadły z rozmaitych stron, krzycząc, śmiejąc się, witając i nalewając pełne uszy słuchaczów piskliwego szczebiotu. Każda z nich miała przywiązany do ręki promień słońca, którego drugi koniec ginął w przestworzu.

Wszystkie.

Jak się macie, moje drogie!.. Stęskniłam się za wami, jak trawa za deszczem...

— Nareszcie możemy sobie swobodnie wytrząsać serca, dopóki nasi małżonkowie nie wrócą i słuzące nas nie ostrzegą...

— Ach, ci mężowie, sami oblatują codziennie świat cały, a nam nie pozwalają ruszyć się z domu... Zazdrośni!..

— Czują starość i obawiają się, ażebyśmy nie zawiązały stosunków z młodymi ziemianami!..

— Musi przyjść do tego... Lepszy śmiertelnik dwudziestokilkoletni, niż bóg, który liczy tysiące lat...

— Naturalnie!..

Maja.

Wszystko to, moje przyjaciółki, można by znieść, gdyby nie dokuczała bieda.

Inne.

O, tak.

Maja.

Wiadomo wam, że mój mąż, Jam, trzymał w swem ręku wszystkich ludzi...

Ota.

Tak nie było.

Maja.

Było! Każdy wierzył, każdy go się bał i każdy składał mu ofiary. Dziś rzadko kto poczuwa się do tego obowiązku. Wiara znikła, kapłani nas oszukują, a my żyć musimy.

Ota.

I mój mąż, Toon, jako duch wiedzy, miał licznych wielbicieli; teraz mijają tygodnie i żaden badacz do niego się nie zwróci.

Napota.

Tegoż samego doświadcza Topan; ludzie zgnuśnieli, nie prowadzą walk i dla zapewnienia sobie pomocy mojego męża nie składają ofiar.

Dora.

I rozradzać się nie chcą. Dawniej kobieta wyprowadzała na świat tyle dzieci, co gęś i za każde wynagradzała boga; dziś już trzeci płód usiłuje zrzucić.

Nojra.

Nam dochody w ostatnich czasach wzrosły, chociaż mogłyby być większe. Bo cho-

spieszący pogrążyć swoje grzeszne i chore ciało w świętych wodach Gangesu, posiadają podobną fizyognomię duchową, święto Zuniów, którego obchodem lud ten usiłuje wymodlić zdrowie i urodzaje, odznacza się takąż rytmiką spazmu i jęku. W tem wyładowaniu się uczucia, w ekstazie szlochającej, dogmat nie odgrywa najmniejszej roli, tj. objawy i uwydatniająca się fizyognomia duchowa są wszędzie jednakie, bez względu na założenie oraz treść artykułów wiary. Ktoś z tego gotów wywnioskować, iż rozpatrywane uczucia, będąc tak rozpowszechnione, stanowią nieodłączną przynależność wszystkich epok rozwoju dziejowego. Nie, taki wniosek jest stanowczo nieuzasadniony.

Śród sprężyn, wydobywających z piersi ludzkiej ów jęk, musimy na pierwszem miejscu postawić poczucie własnej niemocy. Zola w najnowszej powieści roztacza obraz pociągów, zapełnionych szczelnie chorymi i kalekami, pędzących do Lourdes. Sceptyk, którego lekarze opuścili, z ostatnim błyskiem nadziei, udaje się do miejsca świętego. A nuż pomoże! Ktoś inny, już umierający, czyni to samo. Przyjrzyjmy się tym obliczom w wagonie, noszącym na sobie znamię cierpienia, przysłuchajmy się rozmowom i życzeniom, tonowi melodyi i treści śpiewów, a zrozumiemy, że religijność tych pątników to nieustający okrzyk rozpaczy w obliczu nieubłaganej zgrozy śmierci— tam, w obawie i jednocześnie w nadziei wyzdrowienia zamarły inne głosy, ucichły wszelkie powątpiewania. Kompania, udająca się do Jasnej Góry, przedstawia ten sam obraz: pątnicy ciągną tam szukać leków i ukojenia. Jedzie staruszka, która od lat dwudziestu nie chodzi—sama, bez dzieci i wnuków, bo je zabrał Pan Bóg, i mór, i człowiek. Pragnie ona wyprosić lekką śmierć dla siebie. Tęga i energiczna baba wiezie dotkniętego suchotami syna: powędrował z innymi do Brazylii, wrócił, naturalnie bez pieniędzy, ale za to z zarodkiem nieubłaganej choroby. Jadą wozy za wozami, na których widać to ślepych i chorych, to sparaliżowanych, to dotkniętych niemocą, na którą niema u ludzi lekarstwa. Przesuwa się karawana dusz i ciał okaleczonych, okropny teatr życia, jak sen pełen widziadeł dręczących. „Widzę i czuję — pisze z tego powodu p. Wł. Reymont — przez te grube powłoki, przez wychudzone maski twarzy, mam prawie zupełną świadomość stanu ich dusz i ich cierpień. Widzę, że nie na spacer idą, wiem, po co idą. I mojo „ja" sceptyczne, ironizujące, bo wyhodowane w ciasnej komórce życia miejskiego, cofa się z trwogą i podziwem, stoi zdumione i niepewne wobec tylu cierpień, tylu trosk, tylu boleści... Widzę i czuję, że tu, w tym tłumie niema prawie serca, duszy, głowy, którаby nie niosła brzemienia niedoli, coby nie szła z ufnością i nie wierzyła, że skoro położy łzy swoje przed Panienką Najświętszą, skoro jej wypowie ból swój, skoro otworzy serce zbolałe — wszystko to otrzyma. I coby robiły wszystkie te dusze, bóle, skargi cierpienia, nędze wszelakie, gdyby je teraz, natychmiast, ogarnął mrok zwątpienia i nie wiedziały, dokąd iść, i nie wiedziały, w co wierzyć i komu się oddać w opiekę z tą bezgraniczną ufnością?"

Niemoc więc wszelaka, duchowa i fizyczna, ciągnie do miejsca świętego, ufna, że na dolegliwości i zmartwienia znajdzie tam ukojenie. Gdybyśmy liczbowo ocenili obfitość różnych żywiołów, biorących udział w pielgrzymce, gdybyśmy w ciągu dalszym przyjrzeli się fizognomii duchowej każdej z tych gromad pątniczych, gdybyśmy wreszcie zanalizowali naturę spazmu, wydobywającego się z piersi pielgrzymów, stosownie do pochodzenia tego, który go wydał, naówczas ujrzelibyśmy, że rytmika ekstazy i jej barwa są kategoryami natury społecznej, tj. zmieniającemi się w zależności od trybu życia tego lub innego pątnika: u włościanina jest ona inną, aniżeli u mieszczucha, głębszą, bo wstrząsającą całem jestestwem. Religijność ludu wiejskiego tem samem jest zgoła odrębną. I właśnie niemoc stanowi w niej akord panujący — bardziej, niż u jakiejkolwiek innej warstwy, pokrewny jękowi, rozbrzmiewającemu w hymnie: „dnia onego, dnia strasznego."

Inaczej zresztą być nie może, bo tak każe włościaninowi postępować cały tryb jego życia. Wszystkie warunki jego bytu składają się na taki spazm bezsilności. Miasto sprzyja sceptycyzmowi: jego mieszkaniec nie troszczy się o kaprysy przyrody, nie trwoży się, kiedy na dalekim widnokręgu wisi czarna chmura, zwiastunka może gradu. Życie jego płynie z dnia na dzień, zabezpieczone przed niespodziewanym kataklizmem, tak samo prawidłowo, jak odchodzą i przybywają pociągi na kolei. Na każdym kroku, tam w mieście, przyrodę ubezwładniono, spętano w jej dzikich porywach i uzależniono od woli człowieka. Pod wpływem takich stosunków i wogóle całej atmosfery miejskiej istota ludzka zapomina o wszystkiem, co nie jest natychmiastowem użyciem i z niem nie wiąże się w taki lub inny sposób. Sceptycyzm, nieświadomie wyrosły, nie sformułowany nawet jasno, ogarnia całe jego jestestwo, dążnościom życia, przejawiającym się z godziny na godzinę, przeciwdziała jedynie idea, pozostała z przeszłości, która każe wierzyć w pewien dogmat i spełniać odpowiednie praktyki. Tylko wtedy, kiedy przyjdzie nieszczęście, na które niema lekarstwa, kiedy nieuleczalna choroba powali człowieka, wtedy ten i ów otrząsa się z niewiary. Zupełnie inaczej dzieje się w duszy włościanina—mówię naturalnie o wieśniaku, który gospodaruje według wzorów praojcowskich i w starodawnem otoczeniu. Żyje on w nieustającej trwodze, postawiony bezpośrednio przed obliczem nieujarzmionych sił kapryśnicy-przyrody. W jego trybie życia, co więcej, w całem otoczeniu niema takich pierwiastków, któreby go natchnęły śmiałością i dały tę niezachwianą pewność siebie, jaką odznacza się mieszkaniec miasta. Posucha może zniszczyć wszystkie nadzieje zbiorów, burza od jednego razu stłucze plony, piorun zaś z dymem puści cały dobytek, z takim mozołem nagromadzony, długotrwałe roztopy zaszkodzą zasiewom. Albo przyjdzie pomór na bydło i gospodarz będzie do szczętu zubożony. I wszystkie epidemie, i kaprysy przyrody swawolą w życiu wieśniaka bezkarnie, jak śnieżna zamieć na pustym stepie. Spogląda on na to wszystko bezwładnie, w najzupełniejszem poczuciu swojej niemocy: kiedy pożar w palących uściskach obejmie wioskę i będzie ją zamieniał na zgliszcza, niema tam na wsi żadnej zorganizowanej pomocy; żadne środki zapobiegawcze nie będą zwalczały zarazy, gdy padnie na ludzi. Przyroda wciąż zagraża jakimś wybrykiem, przeciwko któremu bronić się nawet na myśl nie przyjdzie wieśniakowi. Poczucie tej niemocy nigdy nie opuszcza go, obawa ciągle tkwi w głębi jego duszy. Dotknięty powiewem sceptycyzmu mieszkaniec wielkiego miasta, wydobywa z siebie jęk bezsilności dopiero wobec nadciągającej śmierci; przeciwnie, spazm niemocy, w stanie ukrytym, istnie-

---

ciaż ludzie śmieją się ze wszystkiego, ale nie dziękują za to Ironowi.

Bojs.

Tak samo u nas. Nie można zaprzeczyć, że ludzie szybko postępują w samolubstwie, ale idą w niem tak daleko, że zapominają nawet o bogu, któremu tę cnotę zawdzięczają.

Lia.

Tak, tak, twoja radość jest moim smutkiem. Niedługo ja i mąż zamrzemy z głodu. Dziś nikt się nie kocha, nikt nie czci Eliona, nikt nie zastawia jego ołtarzów.

Rota.

Wam przynajmniej kiedyś wiodło się lepiej; mój Tor zawsze był lekceważony.

Serika.

Mój Kres jeszcze bardziej. Ciągle mnie pociesza, że przyjdzie czas, kiedy dobrzy bogowie zamieszkają w szczęśliwych ludziach i będą karmili się ich pomyślnością, ale czy to kiedy nastąpi!

Lia.

Elion twierdzi nawet, że już dla niego ten czas błogosławiony się zbliża. W tej nadziei właśnie pospieszył na ziemię do Protoryi, gdzie jakiś Astjos wzywa ludzi do powszechnej miłości.

Napota.

O nie, on uczy ich nienawiści, dlatego Topan podążył.

Maja.

Nie wiecie obie: rozpala w nich wiarę. Dlatego Jam się wybrał.

Inne.

— Nieprawda! Plotka!

— Nam doniesiono!

— Głupie kury, gdaczą z cudzem jajkiem!

— Z mojem!

— Nie obedrzecie nas, jędze!

— Upasły się jak foki i jeszcze im mało!

— Jedz sobie chmurę i popijaj deszczem!

— Ty gryź kamienie i wyłuskuj z nich sobie ziarna!

— Chce im się ofiary.. A kiszeczki z trzciny nadziewane komarami — nie łaska?

— Milcz, bo ci łakome ślepie wyrwę!

Wyrzucając spienionemi ustami coraz obfitsze potoki przekleństw i złorzeczeń, szarpiąc się wzajemnie palcami zagiętymi w szpony i usiłując z płonących gniewem oczu miotać śmiertelne gromy, zwaśnione boginie długo walczyły z sobą, gdy nagle wszystkie wydały krzyk i stanęły nieruchomo z blademi twarzami.

Maja.

Uczułyście szarpnięcie promieniem?

Inne.

Wyraźnie.

Maja.

Czyżby już mężowie wrócili i służące dają znak umówiony?

Targnięcie powtórzyło się.

Wszystkie.

Och, tak!

I znikły jak blaski księżyca, który się spotkał z obłokiem. Widzowie pożegnali je chóralnym śmiechem, który najmocniej zagrzmiał grubymi głosami z zakrytej loży.

Widok 13.

Przed obszernym i wysokim namiotem z purpurowej tkaniny stał niewolnik z tablicą na piersiach, która zawierała napis: „Zabawa dla mężczyzn." Kobiety omijały ten przybytek z widoczną zazdrością, rzucając nań ciekawie przelotne spojrzenie, mężczyźni zaś wchodzili tłumnie i skwapliwie. Zajęli oni wszystkie siedzenia, rozłożone półkręgiem, przed którym na małem podwyższeniu urządzona była scena.

Astjos.

Wszyscy?

Heron.

Zostało kilkunastu starych.

Astjos.

Dokądże poszli?

Heron.

Zapewnie kryją się jeszcze gdzie w okolicy, ale powiedzieli, że idą do Arjosa.

je bezustanku w duszy wieśniaczej. Prowadząc swoje studya etnograficzne, bywam niekiedy wprost zdumiony niezmierną siłą tego szlochania, jakie wydobywa się podczas ekstazy religijnej z piersi rolnika, tą rozpaczą i niemocą, które rozbrzmiewają w psalmach barbarzyńców. Są chwile, kiedy jako robactwo czołgają się oni, myśląc o popełnionym grzechu i odpowiedzialności, która spadnie w postaci huraganów lub posuchy, głodów i moru. Ażeby pola wydały plon, oczyszczają siebie pokutą i spowiadają się, u niektórych plemion przychodzi rok rocznie stały odkupiciel za grzechy, „boży człowiek.“ Idzie on na dni kilkanaście na pustynię pocić się w modlitwie, i pościć, i pokutować, w plemieniu gaszą wszystkie ognie na kominach, nie jedzą nic gorącego. Płacz, szlochanie i „zgrzytanie zębów“ unosi się nad krajem. Aż wreszcie pokutnik plemienny wraca wycieńczony i straszne dnie skruchy i sądu ustają. Lud oczekuje wtedy żniw, pracuje w pocie czoła, usiłuje swojem postępowaniem nie ściągnąć na siebie gniewu nieba. Dopiero kiedy plony już w spichrzach i człowiek został do przyszłych zbiorów wolny od troski o urodzaj, wtedy nastają dnie szalone — „grzechu,“ „rozpusty,“ po których przychodzi w odpowiedniej porze upamiętanie. Taką jest psychika religijna poganina-barbarzyńcy: niemoc wobec sił przyrody stanowi w niej akord głośny. Taką pozostaje ona u wszystkich rolników, pracujących według wzorów staroczesnych i w pradziadoskiej zależności od kaprysów przyrody. Przy każdej więc okazyi, kiedy bezwiedna robota mózgu wysunie na jaw i uprzytomni całą niemoc człowieka, dusza włościańska będzie jęczeć bez końca, bo tak być musi.

Ale w religijności ludu istnieje jeszcze inny akord — ekstazy gromadnej, posiadającej odmienną naturę, aniżeli gdzieindziej i występujący zwłaszcza w pewnych porach roku. Uprzytomnijmy w wyobraźni żmudną pracę żniwiarzy: schylony kark od wschodu do zachodu słońca, ciężki a jednostajny wysiłek mięśni, skwar panujący w powietrzu. Człowiek rzuciłby się jak kłoda na ziemię, leżałby tam bezwładny, napawając się rozkoszą odpoczynku mięśni. Nadchodzi niedziela i tłumy zebrały się w kościołku wiejskim. Śpiewy chóralne, dźwięki organu, rozchodzący się od ołtarza dym kadzideł, i wreszcie odpoczynek mięśni, stanowią swego rodzaju szczególną podnietę dla ekstazy duchowej. „Przyjemność ruchu — spowiada się p. Wł. Reymont — oddychanie swobodne czystem powietrzem, zadowolenie odpoczynku pod gołem niebem, i ten sam dreszcz dziwny na widok księży, kościołów, pięknych ceremoniałów, złoceń, i tak samo łzy zalewają mi oczy i spazm rozczulenia skręca mi serce, gdy usłyszę poważny głos organów, gdy mnie owionie mroczny chłód świątyń, gdy księża używają w przemowach pewnych pobudliwych wyrażeń: kara... cnota... piekło... Amen, i mówią to patetycznymi głosami!“ Dodajmy do tego jeszcze odpoczynek mięśni, a otrzymamy właśnie fundament fizyologiczny ekstazy wieśniaczej. Serca rozczulają się nie pod wpływem dogmatu, trzeba jedynie wyrazów pobudliwych: cnota... kara... piekło—nabożeństwo przestaje być rozmyślaniem o artykułach wiary i wątpię nawet, czy jest jakiemkolwiek rozmyślaniem, raczej jest to stan ukołysania i zapomnienia, podobnie działający, jak śpiew matki na niemowlę.

Religijność więc ludu wiejskiego posiada właściwą sobie fizyognomię, która wypływa z warunków bytu. Kompania, złożona z takich żywiołów, przedstawia rysy zgoła odmienne, aniżeli pątnicy, wychowani i żyjący w atmosferze wielkiego miasta — o ile będą szli oddzielnie, bo w tej samej pielgrzymce różnice zostaną zatarte pod działaniem powstającej jaźni gromadnej. Po przez duszę ludzką przemawiają tam żywioły odmienne: tryb życia, otoczenie, warunki utrzymania. Ale ogół tych stosunków, kładących takie piętno na ekstazie religijnej, zmienia się z biegiem czasu nawet w najrutyniczniejszem ustroniu, nurt duchowy, przeszywający jestestwo wewnętrzne człowieka, zwolna osadza tam w głębi inne pierwiastki i przeistacza całą naturę. Obecna doba jest właśnie chwilą zmian bardzo poważnych w warunkach bytu ludności wiejskiej: niszczy ona dawną bezsilność wobec kaprysów przyrody, którą zaprzęga w jarzmo uległości względem woli ludzkiej. Chociażby już jedno zaprowadzenie dróg, tem bardziej zaś kolei żelaznych, umożliwiających szybki a masowy dowóz żywności do okolic, zagrożonych przez nieurodzaj, musiało wywrzeć wpływy bardzo doniosłe. Stanowczo wątpię, czy dzisiejszy włościanin wobec potworów żelaznych, przerzynających znaczne przestrzenie, zdołałby wydobyć z siebie ów hymn ponury, jaki w *dies irae dies illa* przekazały nam wieki średnie. I każdy postęp techniczny, każde ulepszenie społeczne, ubezpieczające wieśniaka przeciwko klęsce pomoru i gradu, to nurt, odrywający cząstkę po cząstce z owych pokładów niemocy. Naturalnie, póki istnieje osada włościańska, już przez sam swój ustrój gospodarczy skazana na rutynę, dopóty pierwiastek taki będzie tam istniał, skutecznie opierając się wszystkim oddziaływaniom ze strony ideologów sceptycyzmu, choć bądź co bądź zmniejszać się on będzie, bo musi. I z drugiej strony, technika, dając kosiarkę zamiast kosy, żniwiarkę zamiast sierpa, usuwa znowu dawne pierwiastki fizyologiczne ekstazy i dąży do nadania jej innej postaci. A zatem objawy uczucia religijnego są naprzód niezależne od dogmatu, powtóre zas stanowią funkcyę czasu i zmieniają się z ukształtowaniem warunków bytu.

L. K.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA WŁOSKA

Carducci urodził się 27 czerwca 1836 r. w okolicach Pizy, gdzie ojciec jego był lekarzem. W ciszy i samotności maremmy toskańskiej upłynęło mu dzieciństwo, śród widoków natury, pełnej poezyi i bogatej we wspomnienia historyczne: po wszystkich wzgórzach okolicznych sterczą resztki nawpół zrujnowanych zamków rycerskich. Koloryt smętny i gorący tych krajobrazów pozostawił piętno niezatarte na wszystkich późniejszych utworach poety.

Wychowaniem chłopca do lat 13 kierowała matka, kobieta ukształcona, wielka patryotka i nieprzyjaciółka dewocyi. Cechy te i upodobania przyczepiła synowi, wzorów cnoty kazała mu szukać w tragedyach Alfierego; były one jego pierwszą lekturą.

Ojciec uczył go łaciny i surowem swem obejściem wywarł na niego wpływ pośredni, mianowicie niechęć ku wszystkiemu,

---

Astjos.

I ktoby się spodziewał, że ten niepoń taką burzę wywoła.

Heron.

Ale co ciekawsze, są przekonani, że do niego pojechała również Orla.

Astjos.

Czyż ty temu wierzysz?

Heron.

To byłoby potworne, ale o ile ją znam — jest możliwe.

Astjos.

Eh, nie! W każdym razie muszę prędko odpłynąć do domu, bo i u nas z pewnością niewolnicy się zbuntowali, mając tak blisko swego przywódcę.

Heron.

Niewątpliwie. Może i ja z tobą się wybiorę, bo jeżeli prawda, co mówią, trzeba od szaleństwa powstrzymać Orlę.

Astjos.

Czy dałeś znać władzy?

Heron.

Zawiadomiłem wielkorządcę.

Astjos.

Wojsko przypędzi ich nazad.

Heron.

Inaczej groziłaby nam ruina. Czy byłeś na przedstawieniu komedyi Anora?

Astjos.

Byłem, ale prawie nic nie słyszałem, bo mi Kobus ciągle jakąś ładną dziewczynę w oczy wtykał.

Heron.

To już Jalę odstawiłeś?

Astjos.

Ach, co ja z nią mam! Dyabelnie piecze mnie ta nowa paciorka! Wystaw sobie, każe mi siebie kochać do śmierci, inaczej grozi mi zemstą. Tymczasem ja już od trzech godzin przestałem ją kochać.

Heron.

Przewidując to, zamówiłem u Skita dwie niewolnice, które będą teraz tańczyły — jedną dla ciebie.

Astjos.

Zabierzemy je i odjedziemy, a Jala niech sobie siądzie na statek i płynąc do męża, dmucha ze złości w żagiel.

Heron.

Ale czy mi wypada wieźć z sobą tę dziewczynę do was?

Astjos.

Obie pójdą na mój rachunek.

Dwaj niewolnicy weszli na scenę i wnieśli kosz, z którego zaczęli wyjmować i puszczać ogromne, żywe raki morskie. Zamknięte w niewielkiej przestrzeni wązką plecionką drucianą, pełzały po podłodze w skupieniu, tworząc prawie łączną tarczę.

Głosy.

— Co to będzie?

— Zobaczymy. O i Wir-Wir wjeżdża. Stary łobuz chce sobie przypomnieć młodość.

Niewolnicy wnieśli go w lektyce, za którą szedł Ruf i stanąwszy, osadził ją nieruchomo w swych dłoniach, jak w mocnych klamrach słupów.

Na scenę wbiegła z lekkością wiatru naga dziewczyna. Smukłe jej ciało było pięknym pąkiem świeżo rozkwitłej lilii, niepokalanej w barwie i upajającej w uroku. Czarne włosy, skręcone w jeden sznur i zwinięte w niski stożek na wierzchu głowy, tworzyły jak gdyby spiczastą czapeczkę. Duże, ciemne oczy w delikatnej twarzy, wązki, prosty nos i drobne usta wskazywały, że krew tej niewolnicy pamięta jeszcze dobrze swobodę jej wolnych przodków. Rozdawszy widzom wdzięczne ukłony, wskoczyła w obwódkę drucianą i rozpoczęła taniec na rakach. Były to widoki wdzięcznych, szybko zmieniających się póz, ponętnych układów ciała, które uwydatniały całe bogactwo jego pięknych form. Tancerka kładła się, pochylała w najrozmaitszych zgięciach lub zawisała w powietrzu, jak gdyby ono dawało dostateczne oparcie jej lotnej postaci.

Na twarze widzów wybiegły namiętności, które bądź rozpalały je ogniem, bądź wykrzywiały rozbestwieniem. Tylko Wir-Wir siedział w swej lektyce niezmieniony, ponury, z przy-

czem ten nieszczególny wychowawca najbardziej się zachwycał. Stąd pochodzi w młodym Carduccim antypatya do Manzoniego, który dla ojca był największym z geniuszów. Jako karę za przewinienia, zamykano wyrostka na klucz i kazano odczytywać „Moralność katolicką" Manzoniego i „O obowiązkach człowieka" Silvia Pellica. Znienawidził tych autorów, którzy byli dla niego związani ze wspomnieniami poniżeń, razów i braku swobody— później rozszerzył swą niechęć i przeniósł ją na romantyków w ogólności.

Chłopak wolał hasać po polach, niż ślęczeć nad książkami, zwłaszcza iż miał dwóch wiernych towarzyszów, wilczka i sokoła, które go na chwilę nie opuszczały, gdy tylko po ukończeniu zajęć mógł się wymknąć z domu. Niestety, surowy wychowawca prędko mu pozabierał tych przyjaciół; jednego oddał znajomym, drugiego zabił. Od wszystkich utrapień wybawiła go dopiero malarya, na którą zachorował. Gdy wyzdrowiał, rodzice zmuszeni byli, dla zmiany klimatu, wysłać go do Castagneto i umieścić tam u znajomego lekarza. Tu, na swobodzie, porobił nowe znajomości, między innemi z radykalnym patryotą, krawcem Scalzonim, który wtajemniczał go w ideały demokratyczne młodej Italii i zalecał czytanie satyr Giustiego. Sam Giosue tłomaczył je następnie chłopom i robotnikom, którzy licznie się zbierali w domu krawca. Gdy w r. 1849 posłany został do Florencyi, do szkół, miał już utarte drogi dalszego rozwoju.

Ugo Foscolo, Parini, Prati byli ukochanymi jego autorami, zwłaszcza zaś Wiktor Hugo, którego napuszona retoryka i ideały demokratyczne nadzwyczaj przypadły do smaku młodemu gimnaziście. Olbrzymi także wpływ wywarły na niego patryotycznie i pesymistycznie nastrojone tony poezyi Leopardiego, głównie pod tym względem, iż zwróciły go ku Dantemu, Petrarce i starożytnym.

Po ukończeniu gimnazyum r. 1853, Carducci wstąpił na uniwersytet w Pizie i poświęcił się z zapałem studyom klasycznym, pod kierownictwem profesora Ferucciego.

Po upływie trzech lat otrzymał stopień doktora filozofii i wnet potem miejsce nauczyciela w San-Miniato, skąd jednak musiał wkrótce ustąpić, podejrzewany o wolnomyślność. Wrócił do Florencyi i zajął się lekcyami prywatnemi, które miały mu wystarczyć nietylko na własne utrzymanie, ale i rodziny, gdyż ojciec niedawno przedtem umarł.

Te obowiązki nie pozwoliły mu wziąć udziału w rewolucyi z r. 1859, jakkolwiek pałał gorącą żądzą walczenia z austryakami. Wkrótce potem położenie Carducciego znacznie się poprawiło, gdyż otrzymał katedrę literatury klasycznej na uniwersytecie bolońskim. Od tego czasu, zabezpieczony materyalnie, mógł całkiem się oddać pracy poetyckiej i literackiej.

Pierwszy tomik jego poezyj, wydany jeszcze w r. 1857 p. t. „Rime," całkiem przeniknięty duchem klasycyzmu; nie jest to jednak ślepe naśladownictwo. Owszem, są tam cechy nowe i bardzo charakterystyczne. Wiele miejsca młody autor poświęca miłości, pojętej czysto po grecku, bez cienia romantyki; ale zbawienny wpływ naszych czasów jest tu oczywisty. W poezyi miłosnej starożytności po przez wszystkie wyszukania i zasłony formy słychać zawsze suchy i twardy głos pana, który stara się zmiękczyć go, przemawiając do niewolnicy. U Carducciego napróżnobyśmy szukali takich odcieni: miłość jest tu użyciem, ale osób równych i wolnych. Pod tym względem był on całkiem w zgodzie z duchem naszych czasów. Wyzwolił się zupełnie ze wspomnień — tak bliskich i niebezpiecznych! — romantyki, która rozdzierała swych bohaterów pomiędzy sensacyą bezpośrednią a refleksyą religijną i mistyczną. Delikatny poeta i konsekwentny materyalista, starał się, aby jego uczucia nie były w sprzeczności z myślami, nie przeżuwał starych formuł, nie prawił swym kochankom o duszy, gdy filozofia nauczyła go zaprzeczania jej, nie siał pustych frazesów o połączeniu serc, zgłębiwszy otchłań, która je oddziela na zawsze.

Zaiste, na to trzeba wielkiej śmiałości! Nikt z nas, najodważniejszy bodaj, nie może się pozbyć banalnego naśladownictwa odwiecznych szablonów miłosnych, gdzie każdy chce koniecznie zrealizować typ przyjęty, zamiast być sobą. Albo, do licha, odrzućmy całą filozofię współczesną i wytwórzmy nową, o podstawach metafizycznych, religijnych i wówczas garderoba średniowiecczyzny miłosnej i romantyki będzie na swojem miejscu, albo też bierzmy przykład z całej natury. Spojrzyjcie na motyle zakochane. Z jakim zapałem one się oddają kokieteryi artystycznej, całkiem pogrążone w swej namiętności! I cóż znaczy dla nich galerya? One kpią sobie z niej i jak są poważne w tych okolicznościach solennych życia, któreśmy tak zbanalizowali! One umieją kochać. Wynalazły jedną wielką rzecz, miłość bez jutra. Cała wieczność szczęścia mieści się w sekundzie, która jest przeznaczeniem ich pijaństwa i w związkach morderczych, które ujawniają natężenie użycia, jakiego nigdy nie dopną nasze banalne miłości. Wszak one umierają z rozkoszy!

Otóż my, materyaliści, pozytywiści, kopiujemy ze starych romansideł wzory, podług których układamy naszą namiętność i męczymy się w jednakowych złudzeniach, odmalowanych na znużonem tle literatury.

Tendencya pogańska pierwszych „Rymów" Carducciego nikomu się nie podobała. Sam poeta, przy powtórnem ich wydaniu, pisze: „Wyznaję, nigdybym nie uwierzył, iż piękna Toscana może wydać tyle zgniłych jabłek, ile ich się posypało z rąk mych ukochanych rodaków, gdy się zjawiły pierwsze me wiersze młodzieńcze, które teraz ponownie wydaję z niewielkiemi zmianami pod tytułem „Juvenalia." Wówczas wszyscy jednogłośnie obwiniali mię o niewolnicze naśladownictwo i bałwochwalstwo starożytności."

Z drugiej strony poeta występuje w tych rymach jako bojownik polityczny w wierszach noszących tytuły: „Il Plebiscito," „Sicilia e la rivoluzione" itd. Hymn „Do szatana," wydany w r. 1865, zdobył mu odrazu rozgłos w kraju i za granicą. Ponieważ myśl poety przekręcano, przypisując mu kult zła, zmuszony był bronić się i objaśniać w artykułach, między innemi w „Satana e polemiche sataniche." Hymn ten ma znaczenie satyryczne: jest to protest przeciw reakcyi i obskurantyzmowi, które płynęły z Rzymu. Szatan, jak jego imię — Lucyfer — zresztą wskazuje, jest przedstawicielem światła, rozumu, wolności, wobec odwiecznych przesądów i tyranii, które go zwalczyły i wypędziły z nieba. Niema w tym wierszu nic przewrotnego, ani niemoralnego: każdy przedstawiciel postępu mógłby się pod nim podpisać; co najwyżej razi on tylko starą, oklepaną frazeologią moralną, która z imieniem Adonai łączyła dobro, Lucyfora zaś — zło. Poeta odwraca ten porządek. Ale i w tym

---

mkniętemi oczami. Nie drgnął również, gdy dziewczyna po skończonym tańcu odtrąciwszy drucianą ogródkę, z której rozlazły się raki, okazała, że żadnego z nich swą lekką stopą nie zgniotła i gdy wszyscy sypnęli jej za ten tryumf rzęsiste oklaski. Natomiast Astjos zerwał się z siedzenia, jak gdyby za nią chciał biedz, ale ona szybko znikła.

Na uprzątniętą scenę wbiegła druga. Młodsza, wątlejsza, okryta była płaszczem bujnych, rozpuszczonych włosów, które sięgały jej aż do kostek. Zaczęła ona wykonywać pantomimę, udając ściganą przez niewidzialnego ducha, który ją usiłował porwać, a ona mu ciągle z rąk się wymykała. Twarz jej, jak gdyby pod naciskiem rzeczywistych uczuć, wyrażała kolejno z zadziwiającą prawdą przestrach, błaganie, szyderstwo, zalotność, chęć przedłużenia walki i zwycięzenia napastnika. Nęcąc go, gdy zaprzestał pogoni, uchylała ponętnie swój płaszcz włosiany i drażniła wdziękami. Podnieceni już poprzednim występem widzowie, zaczęli cisnąć się do sceny. Dziewczynka, jak gdyby przewidując istotne niebezpieczeństwo, zakończyła pantominę i uciekła.

Wkrótce wszakże weszły obie, lecz zaledwie stanęły do łącznego tańca, odezwało się chrapliwe wołanie:

Wir-Wir.

Skit! Skit!

Wszyscy zwrócili oczy ku starcowi — na scenie ukazał się przedsiębiorca.

Skit.

Jestem.

Wir-Wir.

Czy te niewolnice do sprzedania?

Skit.

Zamówił je Heron.

Wir-Wir.

Zapłacił?

Skit.

Nie.

Wir-Wir.

Daję za nie dwa razy więcej, niż żądałeś od niego.

Skit.

Osiemdziesiąt złotników.

Heron.

Osiemdziesiąt jeden.

Wir-Wir.

Dwa razy tyle.

Skit.

Sto sześćdziesiąt dwa.

Heron.

Sto sześćdziesiąt trzy.

Wir-Wir.

Dwa razy tyle.

Astjos.

Ależ on je chyba potrze sobie na deski do trumny.

Heron.

Dlaczego obywatelu chcesz mnie przelicytować?

Wir-Wir.

Dlatego, ażebyś ani ty, ani żaden potomek zacnego rodu nie pokalał swego ciała nawet chwilowym związkiem z temi podłemi gadzinami. Powiedziano mi, że wystąpią dziś kusicielki, którym się nikt nie oprze, widziałem, że was wprawiły w szał— postanowiłem nie dopuścić, ażeby ładne mięso niewolnicze zetknęło się z ciałem szlachetnem. Nabywam je dla moich dwu najwierniejszych sług, którzy stoją na przodzie lektyki. Oni będą z nich mieli właściwy pożytek.

Obleciał widownię krzyk oburzenia. Astjos z Heronem bryzgali ku starcowi wyrzutami, tancerki drżały blade na scenie, jak płomyki w wietrze — tylko Skit uśmiechał się zadowolony.

Ruf! zapłać, ile powiedziałem.

Ruf wręczył Skitowi pieniądze i śród nabrzmiewającego coraz bardziej gwaru wyniesiono lektykę Wir-Wira. Długo jeszcze naokoło szałasu biegała głośna rozmowa, potrącając echami drzewa gaju. Wreszcie noc nakryła wszystkie miejsca zabawy milczeniem.

(D. c. n.).

hymnie postępowym odnaleźć można pesymistyczne odgłosy liry Leopardiego: jakkolwiek duch ludzki w szatańskiej pracy podbija sobie coraz bardziej ślepe siły przyrody, poeta nie widzi we wszystkich tych wynalazkach i odkryciach, aby ludzkość dopięła kiedyś ostatecznego celu swych dążeń: szczęścia. Cel ten raczej wyprowadzony już został, szukać go trzeba w starożytności, „gdy pod pogodnem niebem Grecyi rodziła się z piany morskiej Wenus Anadiomene.“

Po hymnie „Do szatana“ muza Carducciego“ przybiera charakter czysto polityczny i społeczny. Wolność ojczyzny, obalenie wpływu i władzy papieża, rzeczpospolita i demokracya — oto stałe hasła jego późniejszej poezyi. Tematy te nadają się bardzo dobrze do napuszonej retoryki i są nadzwyczaj popłatne u nas, nie wymagają zaś wysiłków sztuki nazbyt delikatnej. Wiadomo. iż Wiktor Hugo zdobył sobie sławę głównie tą kokieteryą z motywami demagogicznymi, trąbieniem o szlachetności ludów i niecności królów.

W jego ślady poszedł i Carducci — z takim samym zupełnie skutkiem. Stworzył w ten sposób ciekawe okazy literatury krzykliwie-publicystycznej, w formie poetyckiej. Należy je rozważać raczej jako środki działalności poetycznej, niż jako utwory sztuki. A i pod tym względem nasuwają one uwagi niezbyt pochlebne: ten Tyrteusz, wrzeszczący na całe gardło, nigdy czynnie w żadnym ruchu nie brał udziału, ze względów czysto prywatnych utrzymania rodziny itp., jakkolwiek, rozumie się, pałał wciąż gorącą żądzą wystąpienia z orężem w ręku A co najciekawsze, z jego republikanizmu i demokratyzmu niewiele pozostało teraz, gdy jest już senatorem. Obecnie pisuje hymny na cześć — nie króla, Boże broń! — lecz królowej, a także p. Crispiego. Niedawno posłał dyktatorowi włoskiemu odę, w której porównywa go z „Procida,“ tylko że Crispi jest od niego prawdziwszy i większy, „piu vero e maggiore.“ Rysuje go tu zarazem, w metaforze uprawnionej zresztą przez starożytność, jako „uprawiającego morze sycylijskie naprzód i w tył,“ bohatera, któremu przypada główna część z wyprawy Tysiąca. Stąd śmiech bez miary. Dla ilustracyi „Don Chisciotte“ przedstawia Crispiego przy pługu na morzu.

W innym rysunku z tego powodu Carducci ogląda posąg w pracowni rzeźbiarza.

— Kto to? — zapytuje poeta.

— Garibaldi, szanowny mistrzu — odpowiada rzeźbiarz.

— Ah! bravo! Bardzo dobrze.

I podnosząc palce dla objaśnienia, dodaje:

— Gdyż on także należał do Tysiąca.“

Widzimy więc, iż nawet rodacy poety nie bardzo seryo traktują jego retorykę polityczną. Cierpią na nią i „Levia Gravia“ i „Decennalia,“ następnie dwa zbiory Carducciego. jakkolwiek przyznać trzeba wielkie piękno języka i znaczny talent satyryczny.

Dopiero w „Nuovo Poesie“ (1878), a głównie w „Odi barbari“ (3 vol.) autor schodzi ze szczudeł trybuna i występuje przed nami jako delikatny marzyciel i artysta. W prologu do „Nuove Poemi“ i w preludyum do „Odi Barbari“ wyraża on swą antypatyę ku sentymentalno-mdłemu kierunkowi panującej poezyi włoskiej. Sam poeta na skrzydlatym koniu mknie w krainę starożytności klasycznej. Po drodze spotyka harcujących na małych konikach z pięknie uczesanemi grzywami i błyszczącemi siodełkami, przedstawicieli Parnasu włoskiego. Na widok śmiałego jeźdźca na Pegazie wpadają w przestrach i złość. On jednak nie zwraca na nich żadnej uwagi i śród zawieruchy, gromów i błyskawicy dopada do świątyni starożytnej, gdzie znajdzie największą nagrodę — sławę i wolność.

Ten wstęp do „Nowych poezyj“ nie jest zbyt skromny, ale w samej książce znajdujemy wiele pięknych rzeczy: wspomnienia o bracie przedwcześnie zmarłym, o pierwszej miłości. „Mnie od tego czasu — skarży się poeta — było tak zimno, tęskno, smutno!.. Lepiej bym był się został z tobą i wprowadził gospodynię do mego domu, o moja biała Maryo!.. Lepiej jest pracować w pocie czoła i opowiadać wieczorem dzieciom o niebezpieczeństwach polowania na bawołu, niż ślęczeć nad wierszami, lub oddać głodnemu robakowi myśli mózg na pastwę w dążeniu do rozstrzygnięcia zagadek nierozwiązalnych. W innem miejscu poeta opowiada smutki i radości powrotu dojrzałego mężczyzny na miejsce urodzenia, gdzie spędził pierwsze lata życia. Stare cyprysy przydrożne poznały zdala wędrowca i powitały szelestem liści, który zdawał się mówić: „Dobrześ zrobił, żeś powrócił do nas. Chodź, spocznij pod naszym cieniem... Wietrzyk morski odświeży znużone czoło. Nie gniewamy się na ciebie za kamienie, któreś ciskał na nasze gałązki, będąc dzieckiem. Zostań przy nas!“ „O, wierni druhowie najlepszej pory mego życia — odpowiada poeta — z całego serca chciałbym zostać z wami, ale nie mogę. Inne czasy, inne warunki.. Gdybyście wiedziały... wszak ja teraz jestem znakomitością; czytam po łacinie i po grecku, piszę wiele. bardzo wiele i posiadam Bóg wie ile jeszcze cnót najrozmaitszych. Teraz już nie jestem chłopięciem ulicznem, nie rzucam kamieni, a przynajmniej nie w drzewa...“ Tu słońce błysnęło po przez gęstwinę dobrotliwym uśmiechem i cyprysy zaszumiały szeptem współczucia: „Wiemy, żeś ty biedny, godny litości. Powiedział nam o tem wiatr, unoszący na skrzydłach westchnienia ludzkie; powiedział nam, iż w piersi twej gore płomień wiecznej rozterki, której nie umiesz uśmierzyć. Nam i naszym sąsiadom, zielonym dębom, możesz opowiedzieć o swych smutkach i boleściach. Patrz, jak tu spokojne jest morze lazurowe i jak spokojnie się w nie pogrąża płomienne słońce.“

W „Odi barbari“ Carducci doszedł do niezrównanego mistrzostwa formy próbą wskrzeszenia starożytnych metrów. W nich wszakże spowite są często uczucia i nastroje zupełnie współczesne. Zwykle jednak przemawia poganin. Poeta woła: „Chwila obecna nie istnieje; piękno jest tylko w przeszłości, a prawda — w śmierci... O serce serc (cor cordiam) drogie, zamilkłe serce, wielki nasz ojciec, oblewa cię promieniem miłości, wokoło szumią zielone sosny, kołysane przez wiatr, nadchodzący z Rzymu... Gdzie ty jesteś, poeto, któryś marzył o wyzwoleniu i szczęściu świata?“ Ta znikomość człowieka wobec wiecznie młodej i wiecznie trwałej natury jest przedmiotem dumań „Nad Addą“ i „Na Monte Mario.“ „Druhowie, zebrani na tym wierzchołku, napełniający czasze złocistem winem, niechaj wieczne słońce w nich połyska, a wy, piękne, uśmiechające się wesoło — jutro wszyscy pomrzemy. Jutro pomrzemy, jak wczoraj pomarli nasi kochani. I coraz bardziej ulatniając się z pamięci bliźnich, blado cienie, z czasem zupełnie znikniemy.“ W „Primavere Elleniche“ Carducci twierdzi, iż bogowie Hellady nie zginęli i nigdy nie zginą: z głębokiego snu, w który ich wtrąciła surowa klątwa chrześciaństwa, obudzić może każda kobieta, pałająca ogniem namiętności i każda pierś młodzieńca, tchnąca entuzyazmem.

W sprzeczności z tem są inne jego słowa: „Tylko myśl w czystości swej i potędze jest iście piękna. O, jakże w porównaniu z nią wydaje się płaską i bezbarwną stara przyroda, jak nędzną i skąpą jest ta wiosenna maskarada róż i fijołków, jak ciasne sklepienie niebios i ty, jakoś zbladło, o słońce!“

Ostatnimi czasy sędziwy poeta jeszcze dalej posunął się w tym kierunku spirytualizmu. Niedawno wygłosił w San Marino mowę, gdzie powołuje swych współobywateli do szacunku i uwielbienia Boga. „Wszędzie, gdzie idea Boga świeci potężna i pogodna, ludy powstają i kwitną; gdzie ona słabnie, tam państwa psują się i upadają. Niechaj Bóg będzie podstawą naszej Rzeczpospolitej, obywatele!“ Po drodze uszczypnął nawet Leopardiego za bezbożność. Tak przemawia ten zapamiętały ateista i namiętny poganin — wobec licznej publiczności. Czyżby to był znowu wybieg demagogiczny?

L. H.

NASZA KRYTYKA TEGOCZESNA.

II.

Teorya środowisk i otoczeń, której od Herdera do Taine'a, przed nimi i po nich używał i nadużywał kto w Boga wierzył i nie wierzył, miała i ma w Chmielowskim wątpliwego wyznawcę i zwolennika. Krytyk nasz wcześnie się poznał na marnotrawstwie przelewania tożsamości zewnętrznych na wewnętrzne, lub odwrotnie, — tam zwłaszcza, gdzie jedno i drugie bardzo mało samo posiada, a jeszcze mniej podać sobie nawzajem może. Szare i drobne — niemylnie „drobne“ tło naszego życia (II, 420), — społeczeństwo biedne, pozbawione pomyślnych warunków istnienia, w porównaniu z innymi narodami mało wykształcone, nie posiadające dostatecznego zasobu materyalnego, ani odpowiedniego przygotowania umysłowego, aby mogło poprzeć, zachęcić lub nawet zużytkować należycie wyższą pracę wytwórczą lub wynalazczą (II, 387) — publiczność, nie lubiąca pracować przy czytaniu umysłem własnym i z tego powodu nie pragnąca żadnych głębokości i subtelności (I, 177), — to z jednej strony. Z drugiej — nie nazbyt więcej, przynajmniej w beletrystyce: „nasi powieściopisze patrzą na ludzi zazwyczaj powierchu tylko, do głębszej analizy ich duszy pospolicie się nie zabierają; najlepszemi postaciami powieści naszej są te właśnie, które mają serca na wylot; powieść nasza jest bez rozmaitości i szybszego rozwoju, fantazya w niej miernego polotu. myśli powszednie, obejmujące niezbyt szeroki widnokrąg, charaktery giętkie albo nijakie, brak hartu woli (I, str. 9 wstępu).

Ściśle rzeczy biorąc, Chmielowski — w zasadzie — wierzy w moc oddziaływania środowiska na rozwój jednostki, skoro całe zadanie krytyki monograficznej zasadza na wniknięciu „w głąb talentu autora i w usposobienie społeczeństwa, które go wydało“ (I, 135), — w wykonaniu atoli, w praktyce słucha własnego przepisu jedynie tam, gdzie on skutkuje, tj. w granicach pierwszych wrażeń dziecięcych, które, jak w Rzewuskim np., były najsilniejszą podstawą przyszłej jego doktryny religijnej“ (I, 139); uwzględnia też niekiedy, jak w Korzeniowskim np. szkołę i poufne obcowanie rodzinne (II, 12 i nast.); na widownię bubliczną wysuwa się dopiero wtedy, gdy tętno życia zbiorowego nieco mocniej i wyraźniej uderzać zaczyna, jak np. w życiorysie Kaczkowskiego (I, 294 — 350 z przerwami). Wtedy w obrazowaniu sytuacyi i lokalnych dążności towarzyskich, staje się złotoustym; wszędzie indziej, kwestya zawisłości wytwórstwa artystycznego od warunków bezpośredniego otoczenia, otrzymuje z jego ręki zaledwie notatki i objaśnienia luźne tej osnowy ubogiej i zazwyczaj smutnej, na jakiej się np. zamyka ocena Junoszy: „Kto równocześnie pisze trzy albo cztery powieści fejle-

tonowe i musi tych kawałków na termin dostarczyć, a przytem dbać, aby każdy odcinek był sam przez się zajmujący, ten o umiarze artystycznym, o piękności wysłowienia, prócz dowcipu, jeżeli go ma, nie wiele troszczyć się jest w możności. Więcej swobodnego tchu, więcej czasu do zastanawiania się, iluż by pisarzom wyszło na dobre, iluż by miernotom zapobiegło" (II, 447).

W ogólności, ocena wzajemnego na siebie oddziaływania pisarza i społeczeństwa, wypada u Chmielowskiego przeważnie na niekorzyść społeczeństwa. Niziny naszego życia są tak sypkie, lub grząskie, że żadna indywidualność wyższa i silniejsza, nie zdoła wśród nich wydeptać dla siebie trwalszego gościńca wpływu i znaczenia. Stare cnoty, gdziekolwiek się one jeszcze przechowały, stały się w warunkach obecnych prawie zbytkiem kosztownym i nadmiernym, stare przyzwyczajenia i wymagania wyszły na ciężar nie do zniesienia, a tymczasem dla zdobycia nowych dźwigni postępu zabrakło nam naraz i środków i animuszu. „Jednostek utalentowanych i genialnych — powiada Chmielowski — nie brakowało nam nigdy i teraz zapewne nie brakuje" (II, 387), ale na ciągle chwiejącym się gruncie dążności zasadniczych, wśród nieustającego rozpraszania się uwagi publicznej na tysiączne ułamki biedy powszechnej, rzeczy pierwszorzędne nikną w nawale kłopotów drobnych i drobniejszych jeszcze kwestyek, któremi dziennikarstwo jałowe i bezdarne karmi społeczność, losów swoich niepewną. Tym to sposobem wszystko razem schodzi na jeden poziom płaski i w zapomnienie idzie, — jak owa np. „Placówka" Prusa, którą zajmowano się czas pewien jako zjawiskiem niezwykłem, a pochowano niebawem w pochwale doraźnej, bez należytego roztrząśnięcia, bez wyprowadzenia z objawu znamiennego poważniejszych wniosków (II, 377 — 381). Za społeczeństwem starganem i na nicość w rozterce tej zniwelowanem, podąża w końcu, jako następstwo nieuniknione, skoszlawienie i zdziczenie inteligencyi osamotnionej, w próżni się słaniającej jak oczadzona... Zresztą, potrącamy tu już o świat odrębny—socyologiczny, rdzennie przekształcający, zarówno podwaliny jak i dachy psychologii naszego krytyka, który wobec tej niemocy zobopólnej tracić zaczyna głowę i nie wie nieraz, kogo tu więcej winić i na czem się najpierw oprzeć.

Przejdźmy teraz do stanowisk i kryteryów powszechnych, najogólniejszych.

Jeszcze w r. 1886, w czasie pobytu Jerzego Brandesa w Warszawie, Stanisław Krzemiński, publicysta zasłużenie wyróżniony przez d-ra Chmielowskiego z szarego tłumu, tak się wyraził o dogasającym wtedy u pozytywistycznego kierunku literatury polskiej. „Młodość jest jak wulkan: wybuchnie, zaleje, zasypie, zniszczy — i ostygnie. Jej wybuchy pierwotne uprawiają grunt, jej prace późniejsze przynoszą na tym gruncie owoce... Ideały abstrakcyjne z biegiem lat zniżają poziom swych lotów, stają się coraz praktyczniejszymi, tracą bezwzględność i olbrzymiość, zyskują natomiast statek i cierpliwość... Błogosławionem niech będzie życie, że może być walką, ścieraniem się, burzą. Dobrodziejstwem bowiem rzeczywistem jest tylko ruch w społeczeństwie, bodziec do poprawy, nawoływanie do czynu... W rzeczypospolitej umysłowej jest miejsce dla wszystkich: i dla największych materyalistów, i dla zdrowego idealizmu, i dla szczerego pozytywizmu, i dla zwolenników Kanta, i dla wyznawców Comte'a wraz z jego nowszymi przetwórcami, i dla demokratów i dla arystokratów — dla wsteczników i dla postępowców... Nie ta lub owa doktryna jest straszną, ale chińszczyzna niemrawa, spleśniała, wewnętrznego i zewnętrznego ruchu pozbawiona. Taką chińszczyzną darzył nas jezuityzm przez wiek cały; tak samo mógłby nią uszczęśliwić i pozytywizm, gdyby wyłącznie zapanował." (*Zarysy literackie*, Warszawa, 1895, str. 276—7).

O tej wszechstronności Krzemińskiego byłoby wiele do nadmienienia ze stanowiska czynu i rzeczywistości powszedniej, która często nie ma czasu na nieustający namysł i ważenia się myśli; musi ona orientować się szybko, a wybierać stanowczo; sam autor „Zarysów" aż nadto jasno i dokładnie mógł zauważyć, że w takich razach wielopromienne rozpłynięcie się dążności, różnobarwny *totalizm* kierunków, przedstawia te same niebezpieczeństwa, co i dyalektyczny optymizm Hegla, o którym gdzieindziej powiada, że człowiek, wtrącony w tę bezdeń wszechróżnic, wiecznie się wyrównywających na wszechjedność, znajduje się w końcu jak w próżni, że „widzi swą niemoc, bezsilność i bezistotność i nigdzie nie spostrzegając stalszego punktu, wpada w odurzenie, szukać zaczyna samego siebie; duch ludzki uczuwa się tu żebrakiem, włóczęgą, przeklętym jakimś tułaczem" (str. 62). Z tem wszystkiem, Krzemińskiego ocena następstw ruchu, który pod nazwą pozytywizmu ogarnął umysły od r. 1866 do 1880 i po którym dla nas wszystkich pozostały na drogę dalszą, jako spuścizna: „zamiłowanie wiedzy, chęć uczciwa poznania nauki i oświaty zachodniej, krytycyzm w poglądzie na stosunki społeczne, na dzieła umysłu i wyobraźni" — ocena ta jest w zupełności trafną i dosłownie prawdziwą. Niezbędnie też przypomni ją sobie każdy, kto kiedykolwiek mówiłby miał o Chmielowskim, jako o jednym z najdzielniejszych szermierzy i przedstawicieli młodzieńczej, początkującej owej doby naszego pozytywizmu. Dla nas zaś w danym razie wyrozumiałe świadectwo Krzemińskiego ma jeszcze jedno ważne znaczenie.

Wyszedłszy z przypuszczenia, że filozoficzno-socyologiczna doktryna pozytywistów nie liczy już chyba obecnie ani jednego szczerego wyznawcy pomiędzy pierwotnymi swymi — z lat 1868, 69 — bojownikami, autor „Zarysów" tak się dalej wyraził: „Umysły głębsze z pomiędzy stających niegdyś na wyłomie, musiały dostrzedz, że burzenie tradycyi nic nie buduje i nic społeczeństwu nie przynosi, że demokratyczności nie można posuwać do zupełnego wytępienia własności większej, że religia wcale nie przeszkadza ani wiedzy, ani pracy doczesnej, że można mieć doskonałe drogi bite i żelazne, wyborne kanały i mosty, wzorowe gospodarstwa, prawdziwie nauczające szkoły, uniwersytety, akademie, naukę, literaturę, fizykę i poezyę — nie wyprzysięgając się ani Boga, ani przeszłości, nie zrywając z idealizmem filozoficznym, nie wypluwając z siebie historycznego swojego *ja*" (str. 271). Jak się rzecz miała z propagandą pozytywizmu i z jego socyologią w latach 1868, 69 i przedtem, tego dziś sobie na pewno nie przypominamy, ale to pewna, że w dziele d-ra Piotra Chmielowskiego „Nasi powieściopisarze," sięgającem początkami swymi — jak wiemy — roku 1872, szereg poruszonych przez Krzemińskiego zagadnień, czy też punktów spornych, występuje w świetle bez porównania trwalszem, nieskończenie mocniejszem — i nie sądzimy, aby tak prędko światło to zgasnąć miało...

Najpierw — przeszłość, co do której zawsze u nas było najwięcej nieporozumień i swarów. — całkiem przytem niepotrzebnych i zwodniczych, skoro nikt minionych kształtów życia dymami kadzideł lub lamentem złorzeczeń nie zbudzi, ani przeznaczeń spełnionych nie odmieni. Owoż, nie był Chmielowski nigdy tych kształtów wielbicielem gorącym i natchnionym, ale nie pokazało się po nim również i już się chyba wcale nie pokaże, aby z „jaźnią historyczną" zrywał lub ją wyklinał — za świeżej, czy za dawnej pamięci. Stanowisko jego pod tym względem było zawsze spokojne, bardzo trzeźwe, a najściślej sformułowane. Określił je zwięźle i dobitnie po razy kilka, szczególnie broniąc Jeża od czynionego mu zarzutu, jakoby potępiał całą przeszłość. Przytoczywszy słowa powieściopisarza, że „trzeba wyrodka, nie syna, aby usta złożyć się mogły do klątwy na ojca i dziadów," Chm. powiada od siebie: wszystko złe lub dobre, jakie wytykamy w dziejach, wszystkie wady lub zalety, jakie z mogilnej oczyszczamy pleśni, do tego tylko prowadzą, to jedno znaczą, „że nie należy usypiać się piosenką o własnej doskonałości, że nie potrzeba mówić iż wszystko zrobiono i że nam robotę przechowywać tylko wypada, nic nie dorabiając — bo tym sposobem wytwarza się gnuśność i bezmyślność, wiodące do zastoju, do martwoty, a może nawet do czegoś gorszego; wady wykorzeniać, złe naprawiać, świadomie pojmować swe położenie i zadanie, dążyć do jego urzeczywistnienia wszelkiemi siłami, oto cel, wskazany zastanawianiem nad przeszłością i analizą stanu obecnego" (I, 537).

(D. n.)

J. T. Hodi.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z ANGLII I O ANGLII.

Senność opinii krajowej. — Rozkład stronnictwa postępowego i przyczyny. — Sprzeczność w stronnictwie pracy. — Samopomoc narodowa i czynnik państwowy. — „Praca i życie ludu" Karola Booth'a.

Czy rozpoczęta już walka wyborcza zbudzi uśpioną obecnie opinię publiczną? Najbardziej bowiem znamiennym rysem dzisiejszego nastroju John Bull'a, jest jego lenistwo myśli. Obywatele nie przychodzą do urny wyborczej, publicyści powtarzają oklepane zwrotki agitacyjne i nie masz w kraju całym jednego zakątka, którytby swoich zaściankowych spraw nie stawiał po nad interes narodowy Jeden z młodych publicystów zachowawczych zaznacza, że ostatnie zwycięztwa wyborcze toryzmu wcale nie dowodzą zapału obywateli do „unii" i potęgi państwowej; każdy okrąg dba tylko o siebie i o swój *business*. Wobec tego — mówi ironicznie p. Bauman — najlepiej dać każdemu wyborcy „pięciofuntówkę" (50 rs.), za którą odprzeda swoje prawo „ludowładztwa" i pozwoli zrobić z państwem i „unią" wszystko, co się komu podoba.

No, tak daleko jeszcze nie zaszło, ale w każdym razie zapowiada się rozbicie i rozatomizowanie stronnictwa liberalnego. Lewe skrzydło obozu i powstające stronnictwo pracy niezależnej przyznają ten fakt, po części nawet cieszą się z niego i dodają, iż rządy parlamentarne przejdą z rąk *stronnictw* do *grup* politycznych. Pociecha to nędzna w zasadzie, a nadto zupełnie pozorna, bo grupy liberalne będą miały przeciw sobie *jedno* silne, karne stronnictwo wielkiej własności.

Czytelnicy nieraz zapewne spotykali stereotypowy podział stronnictw angielskich na torysów i whigów, uzasadniony różnicą interesów własności ziemskiej i kapitału ruchomego. Otóż, niezależnie od faktu, że ziemia w Anglii, jako czynnik gospodarczy, prawie zupełnie jest skapitalizowaną, podam tu kilka szczegółów, dowodzących, jak daleko toryzm nie w ziemi, ale w kapitale ruchomym czerpie swą siłę. W dzisiejszym gabinecie lordowsko - arystokratycznym spotykamy następujące osobistości, przed-

stawiające nie „ziemię ojców,“ ale przemysł i handel: Przedewszystkiem idzie grupa Chamberlaina, która posiada prawie trzecią część tek ministeryalnych: wszyscy oni nie mają nic wspólnego z interesami rolnictwa, natomiast reprezentują wielki przemysł i Birmingham, lub „świat przemysłowy i jego żonę“ — jak mówią anglicy. Mamy następnie Gerarda Balfoura, sekretarza dla Irlandyi; kuzynek margrabiego Salisbury, członek arystokratycznej rodziny „ziemiańskiej,“ jest przewodniczącym towarzystwa aluminiowego, dyrektorem browaru, dyrektorem kompanii elektrycznej, właścicielem drukarni i gazety oraz dyrektorem aż trzech banków. Lord Balfour z Burleigh jest dyrektorem kompanii kolejowej, wice-prezydentem towarzystwa telefonów i dyrektorem dwóch wielkich banków szkockich. Ks. Devonshire, wice-hrabia Cross, baroneci Hicks-Beach, White Ridley, sir Gorst, lordowie Halsbury, Hamilton, panowie Akers-Douglas, Long i znawca średniowieczczyzny Ritchie — wszyscy są dyrektorami wielkich przedsiębiorstw przemysłowych, stowarzyszeń ubezpieczenia lub banków. Nawet margrabia Salisbury, z natury swej nie przemysłowiec, jest dyrektorem „uniwersyteckiego stowarzyszenia ubezpieczeń,“ które słowo „uniwersyteckie“ używa dla eufemizmu... przedsiębiorczego. Tak się przedstawia legenda, utożsamiająca toryzm z rolnictwem; tak wygląda krajoznawstwo, które ocenia dzień dzisiejszy na podstawie danych z początku stulecia bieżącego.

Liberalizm angielski nie jest więc wcale wyłącznym wyrazem kapitalizmu i mieszczaństwa. Ma on wprawdzie *podobne* dzieje do tych, jakie były udziałem rozwoju ogólno-europejskiego, ale jednocześnie różni się zasadniczo w swej ewolucyi od liberalizmu lądu stałego. Bądź co bądź, od r. 1832 liberalizm angielski przechodzi przez szereg przeobrażeń i wreszcie umiał — szczególnie od 1867 r. — pochłonąć nietylko różnorodne żywioły z drobnego mieszczaństwa, ale i pracowników rolnych, zorganizowaną ludność robotniczą, a wreszcie i tak zwane warstwy „intelektualne.“ Wytworzyła się więc chemiczna mięszanina, która zmieniała swą przyrodę w miarę tego, jak wchłaniała w siebie coraz to nowe składniki. Najwięcej zyskały na tym sojuszu warstwy niższe; nietylko znalazły one rychlejsze i skuteczniejsze uwzględnienie swych interesów u steru nawy społecznej, ale zarazem posiadły umiejętność polityczną. Wiemy z doświadczenia, że stronnictwa polityczne tylko wtedy przejmują się poczuciem odpowiedzialności, gdy zdobywają — lub mają nadzieję zdobycia—udziału w zarządach krajowych. Kto jest dalekim od steru, ten nie ma i mieć nie może poczucia odpowiedzialności, nie ma nawet polityki realnej; drobny mieszczanin, który zawsze stęka, — pracownik rozmarzony, który o dalekiem tylko jutrze bredzi, — dziennikarz lub myśliciel, który karmi się oderwanym wyrazem skargi — jednem słowem cała opozycya, żyjąca w chmurach i bez dnia dzisiejszego, musi wpadać w przesadę, w rozwiązłość marzeń i słowa i traci nawet to poczucie odpowiedzialności, które każda gromada lub organizacya jako taka już mieć powinna. Dzieje skrajnych stronnictw na kontynencie są stwierdzeniem powyższego poglądu. Otóż w Anglii lewica liberalizmu miała dotychczas jedną wielką przewagę nad swemi siostrzyczkami z kontynentu; mianowicie była ona wcieloną (w ogonie wprawdzie, ale na podstawie umowy) do stronnictwa, umiejącego rządzić krajem, a zatem i sobą. Za pomoc zaś, niesioną prawicy liberalizmu, lewo skrzydło otrzymało sowitą zapłatę. Kto zna urządzenia angielskie, ten nie może przeoczyć rozumnej i wspaniałomyślnej nieraz polityki ustępstw ze strony mieszczaństwa.

A jednak zagraża dziś liberalizmowi angielskiemu rozkład. Dlaczego? W odpowiedzi na to zapytanie wskażemy jedno bardzo ważne zjawisko, bez którego znajomości życie społeczne Anglii trudnem jest do zrozumienia.

Mówiliśmy wyżej o dobroczynnym wpływie, jaki miał sojusz licznych warstw społecznych, zjednoczonych pod sztandarem liberalizmu angielskiego. Niemniej sojusz ten nie zdołał zniwelować interesów różnorodnych. „Pokój społeczny“ (sozialer Frieden), według wyrażenia Schultze-Gaewernitza, trudny jest w naszych czasach do zawarcia; średniowieczny „pokój boży“ był możliwy wobec mniej złożonych warunków współżycia. Obok więc sojuszu i zlania się w jedno stronnictwo, pod gładką powierzchnią kotłowało się od przeciwieństwa klasowego. Było to i jest do dziś dnia żywiołowe i nieświadome zadowolenie mas — tak dalece, że na gruncie polityki *realnej* nigdy nie dało się ująć w kształty dążności ogólnokrajowych. Jest to dzika i nieświadoma nienawiść klasowa, która nie ma jeszcze siły twórczej. A właśnie dlatego, że jej nie ma, niezadowolenie to nie umie wcale wyzyskiwać tej polityki ustępstw i reform, której nie skąpi wcale mieszczaństwo angielskie. Stało się nawet prawidłowem w Anglii zjawiskiem, że po każdej reformie politycznej, rozszerzającej prawo wyborcze i przez liberalizm wywalczonej, toryzm przychodzi do władzy. W r. 1892 Gladstone wrócił do niej tylko przy pomocy głosów rolniczych w Anglii i Irlandyi; miasta fabryczne dają przewagę torysom. A gdy rząd Rosebery'ego przedsięwziął reformę prawodawstwa fabrycznego, szklarze zaczęli się skarżyć na złe czasy, tkacze na despotyzm, który ogranicza pracę dzieci, kolejarze na to nawet, że rząd chce przedsiębiorcę uczynić bezwarunkowo odpowiedzialnym w razie wypadku przy pracy. Nie możemy wojść w przyczyny, wyjaśniające te ciemne protesty, ale mamy prawo powiedzieć, iż jedna warstwa przynajmniej nie rozumie jeszcze polityki ogólno krajowej i że mieszczaństwo więcej daje, niż masy chcą. Mamy zatem w Anglii przedziwną sprzeczność: z jednej strony głęboki i zasadniczy antagonizm klasowy, z drugiej — politykę reformatorską, mieszczańską, której niezadowolone masy nie rozumieją i nie umieją wyzyskać właśnie dlatego, że w świadomości swej nie doszły nawet do zrozumienia interesów całej swej własnej klasy.

Przy takich warunkach kto może mieć wpływ na masy? Demagogia! Mamy tego dowód na dzisiejszem usposobieniu północy Anglii i Londynu, a obraz tego nastroju daje nam stosunek do mas dwu jej przedstawicieli: Burns'a i Kier Hardy'ego. Pierwszy, człowiek niezmiernie energiczny, wielce zdolny i jeszcze więcej pracowity, który *o głodzie i chłodzie*, posiwiały w 37 roku życia, był duszą nowego prawodawstwa fabrycznego, utracił całą swą popularność. Dlaczego?—Dlatego, że żądaniem ograniczenia pracy dzieci obraził tkaczy, żądaniem lepszej hygieny fabrycznej oburzył szklarzy itd., jednem słowem zadrasnął wszędzie ciemnotę. Drugi, Kier Hardy, ani razu nie brał udziału w naradach nad prawem robotniczem, ani się troszczył o reformy i ich urzeczywistnienie; natomiast wystąpił bardzo niesmacznie i bardzo tanio przeciw księciu Kobery — popisał się skrajnością w ten sposób, że w imię oszczędności w budżecie miliardowym zażądał zniesienia pensyi kilkotysięcznej przewodniczącego Izby gmin, a zatem przedstawiciela demokracyi parlamentarnej, wreszcie — i to jego największe i, dodajmy, najmniej szkodliwe bohaterstwo — przyszedł do Izby w nankinowych spodenkach i w czapeczce sportowej, pomimo że gdy chodzi na zebrania mistyków, wdziewa frak i cylinder. Otóż Kier Hardy jest dziś prezydentem „niezależnej (?!) partyi pracy“ i osobistością popularną. Dlaczego?—Dlatego, że umie wyzyskiwać ciemne i nieuświadomione niezadowolenie. W polityce więc pracy istnieje ta sprzeczność, iż rzetelne dążności reformatorskie, które mają na celu podniesienie pracy całego kraju, są niepopularne, bo obrażają nieświadomość interesów ciasnych, miejscowych lub zawodowych.

(D. n.)

W. Nadolski.

PAMIĘTNIK.

Zmarły filantrop.

Sewerynowi br. Lenvallowi, który zeszłego tygodnia zmarł w Warszawie, należy się wieniec na mogiłę. Zmarły ani z urodzenia, ani ze swej działalności nie był skierowywany ku tej drodze filantropii, na którą wszedł popchnięty jedynie szlachectwem własnej duszy. Gdzież w świecie bankierskim czerpać pobudki i znajdować sposobności do wzruszania się dolą ubogich dzieci po robotnikach! Ale atmosfera „domu“ Kronenbergów, którego zmarły był prokurentem, miała widocznie w sobie dużo pierwiastków serdecznych, bo z niej wielokrotnie wychodzili dobre chęci i ukazywali się dobrzy ludzie. Zacnym człowiekiem był niewątpliwie ten pozornie zimny, zamknięty w sobie i ślepotą odcięty od świata Lenvall (z rodziny Löwenstein). Łącznie z bratem Leonem znaczną ofiarą pieniężną założył on przytułek dla dzieci po robotnikach, których liczba z 12 urosła do 30 kilku. Instytucya ta nie jest ubogą ochroną, ale przybytkiem wyposażonym sowicie, urządzonym z wygodami, o których jej wychowańcom w pierwotnem życiu nawet się nie śniło, a nadto otoczonym prawdziwie ojcowską opieką. Jest ona przytem u nas jedyną. Czyż można przejść obojętnie około mogiły człowieka, który zamiast skupować akcye, grać na giełdzie i zmuszać każdego rubla do nieustannej płodności na korzyść samolubstwa, takie dał przeznaczenie swoim środkom i taki cel swoim myślom?

Spanoszona kolej.

Tłomacze skarg i życzeń publiczności ustawicznie atakują kolej Wiedeńską rozmaitymi zarzutami — a ona? Nic sobie z nich nie robi. Jak dawniej, pakuje pasażerów do wagonów niby śledzie do beczek, jak dawniej nie daje ulg i wygód, gdzieindziej wprowadzonych, jak dawniej wyprawia dziwy ze spacerowiczami, obecnie znowu zamyka pociągi po pierwszym dzwonku itd. Całe to lekceważenie jest bardzo zrozumiałe: są drogi żelazne, jak ludzie, których *noblesse oblige*, są inne, rządzące się odmienną zasadą: kiedy brutalność i skąpstwo nie szkodzą naszej kieszeni, po co nam grzeczność i hojność? Kolej Wiedeńska ma świetne dochody, jako jedyna arterya komunikacyjna na najruchliwszym szlaku, wie, że do niej nawet najbardziej niezadowoleni zwrócić się muszą, więc puszcza ich skargi mimo uszu. Gdyby tak równolegle do granicy przeprowadzono drugą linię, zobaczylibyśmy wtedy, jak kolej Wiedeńska byłaby grzeczna. Patrzyliśmy na podobną elegancyę, gdy to zrobiono między Lipskiem a Drezonem: zarząd starej kolei omal nie klękał przed każdym pasażerem i nie ofiarował mu bukietu lub pudełka cukierków. Tak to w monopolu często wyrastają rogi, a we współzawodnictwie się łamią.

Małe dopełnienie.

Umarł głośny niemiecki badacz prawa i — jako poseł — wieloletni jego twórca— R. Gneist. Prasa nasza, która po śmierci

każdej znakomitości europejskiej przepisuje w nekrologu odpowiedni artykuł z encyklopedyi Larousa, Brockhausa lub Meiera, i tym razem spełniła to swoje zadanie rzetelnie. Nam się jednak zdaje, że mówiąc o Gneiscie tu w Warszawie, należałoby encyklopedyę niemiecką dopełnić jednym małym dodatkiem. Był to uczony, który — jak o nim mówiono i podobno jak on sam o sobie mówił—„umiał wszystkiego dowieść," a ponieważ w polityce narodowo-liberałów (których był gwiazdą) potrzeba było nieraz dowodzić, że pies pokryty jest łuską, a karp włosem, że bryła może istnieć z dwoma wymiarami, że Adam w raju był prusakiem, a drzewo wiadomości rodziło nie jabłka, lecz knedle itp., więc łatwo pojąć, jakich cudów dokazywał Gneist. Był on jednym z tych mędrców, którym do wszystkiego usłuży „nauka," śmiejąca się pozornie niepodległością bogini, a kryjąca łzy zgwałconej i sponiewieranej niewolnicy. Nie myślimy odmawiać badaniom Gneista w historyi prawa poważnej wartości, ale sądzimy, że należało w ogólnym rachunku jego zasług uwydatnić również zasługę „dowodzenia wszystkiego."

Ustawa aptekarska.

Od lat kilku sprawa przemysłu aptekarskiego zwraca uwagę sfer prawodawczych, które obecnie już nakreśliły ogólne zarysy unormowania tych przedsiębiorstw (przy udziale delegatów towarzystw farmaceutycznych). Przedewszystkiem zasługują na uwagę przepisy, dotyczące otwierania nowych aptek: w Petersburgu i Moskwie pozostanie norma dawniejsza; tj. jedna apteka powinna wypadać na 20 tysięcy mieszkańców, każda zaś ma wydawać 30 tysięcy numerów lekarstw. W miastach, liczących mniej niż 35 tysięcy ludności, ma przypadać jedna apteka na każde 6 tysięcy mieszkańców i — 7 tysięcy numerów. W miastach, obejmujących więcej niż 30 tysięcy ludności, proponowaną jest jedna apteka na 10 tysięcy (15 tys. numerów). Wreszcie dla Odesy, Warszawy, Kijowa, Charkowa i Tyflisu, zamiast normy dotychczasywej, pozwalającej zakładać jedną aptekę na 10 tysięcy mieszkańców (każda po 15 tys. numerów), zalecono jedną na 20 tysięcy (każda po 20 tys. numerów lekarstw). Takie ograniczenie w ostatnich pięciu miastach liczby aptek, a zwiększenie ich obrotów, jest najwidoczniejszem dziełem współzawodnictwa właścicieli istniejących przedsiębiorstw lekodajnych. Oczywiście wnosić należy, iż norma ta będzie hamulcem dla tych, którzy zechcą założyć nowe apteki. Oby tylko spożywcy na tem nie ucierpieli. W dalszym ciągu reforma proponuje podniesienie cenzusu umysłowego uczniów aptekarskich, kandydatów na pomocników. Zamiast świadectwa z ukończenia czterech klas gimnazyalnych, ma być wymagane z sześciu.

Biuro statystyczne — w redakcyi.

Tydzień, pragnąc wytworzyć ogólne pojęcie o urodzajach w gub. piotrkowskiej, prosi delegatów taksowych o nadsyłanie mu wyczerpujących informacyi. „Ogół nasz — powiada redakcya — z tego jedynego i jedynie kompetentnego źródła mógłby zawsze być najlepiej powiadomiony w tej ważnej kwestyi. Z drugiej strony informowanie (we właściwym czasie o stanie urodzajów każdej osobnej okolicy), prasy miejscowej przez delegatów taksowych, najskuteczniej mogłoby zapobiedz różnym tendencyjnie fałszywym wiadomościom, rozsiewanym w pismach przez korespondentów, dorywczo rzeczy traktujących, lub co gorzej, przez interesowane sfery kupieckie." Odezwa ta jest wielce znamienna; stwierdza bowiem i przypomina już nie wiem po raz który, brak u nas prawidłowej i stałej organizacyi statystycznej oraz trudność zdobycia danych nawet ze źródeł pewnych i wiarogodnych. Delegaci taksowi mogliby oddać wielkie usługi ogółowi, a jednak dotąd cała ich robota idzie do archiwum, z którego za lat dziesięć skorzysta jakiś ekonomista i będzie żałował, że spóźnione szczegóły nie zupełnie się nadają do jego wniosków. Wogóle jest to rys charakterystyczny, że częstokroć w najpoważniejszych pracach spotykamy takie spóźnione dane. Tymczasem interesowani, niemający pojęcia o istotnym stanie rzeczy o „konjunkturach" obecnych, muszą pomimowoli, z własną szkodą podlegać fałszerzom statystycznym. Za ich ślepe narzędzie służą także korespondencye. Ile to listów z prowincyi powstaje z materyału dostarczonego przez Berków i Mośków, skupujących zboże i wszelkie inne produkty! Gdyby oni wiedzieli, jakie im nieraz usługi wyświadczają nieświadomie ci korespondenci, byliby wszystkie młyny swych interesów postawili na tej obfitej wodzie dziennikarskiej, nawet w czasie ogórkowym.

Ze złego słewu.

Kasyer dyrekcyi warszawskiej Towarzystwa kredytowego ziemskiego, przywłaszczywszy sobie 20 kilka tysięcy rubli, zbiegł. Nie wiemy, czy w tej kradzieży, dokonywanej zapewne przez dłuższy przeciąg czasu, nie zawinił nadzór, obowiązany rewidować kasę, gdyż nieznany nam jest mechanizm jej kontroli. Zresztą jakkolwiek tak znaczne sprzeniewierzenie zdarza się — jeśli nas pamięć nie myli — w Towarzystwie kred. ziemsk. po raz pierwszy, jest więc dla tej instytucyi wypadkiem niezwykłym, nie wydobywalibyśmy go na wierzch i uważali za dość pospolitą — niestety — przypadłość tegoczesnych kas, gdyby nie zaznaczona w jednem z pism pobudka kradzieży. Mianowicie ów smutnej pamięci Jan Kossowski grał na giełdzie, której wir pociągnął go w otchłań przestępstwa. Mając ciągle nadzieję odzyskania strat, brnął coraz głębiej, aż wreszcie odkryciem niedoboru w kasie położono tamę dalszemu trwonieniu powierzonych mu pieniędzy. Kto nie rozumiał, ten w owej lekcyi poglądowej zrozumie, dlaczego tak ostro występowaliśmy przeciwko jawnej i zamaskowanej grze papierami publicznymi, która wyszła po za mury giełdy i objęła szerokie koła społeczeństwa.

Wino.

Gdyby nasze społeczeństwo było bardzo wrażliwe na wszelkie ostrzeżenia hygieniczne, gdyby wszystko czytało, co się dla jego dobra pisze, to z chwilą ukazania się w handlu księgarskim broszury d-ra J. Polaka „O winie i przemyśle winnym w Warszawie," zapanowałoby wszechwładne bankructwo w tej dziedzinie handlu. Zobaczmy, jak strasznymi faktami autor usiłuje zniechęcić ogół do owego trunku. Oto niemal cała Europa środkowa zaczyna przychodzić do przekonania, że wino stołowe jest zwykle podrabiane, „że wszystkie uroczystości, biesiady, bankiety, zatruto bywają płynem, nadużywającym nazwy wina, że obrządki mszalne zniesławiane są fałszerstwem, że chorzy zamiast leku znajdują w winie płyn obojętny, a niekiedy truciznę! P. Mintzlow, naczelnik I-go wydziału departamentu celnego w Rosyi, utrzymuje, że produkcya wina naturalnego upada, skutkiem zwiększenia się pokupu na fałszowane. Według jego obliczeń, Rosya spożywa rocznie 144 milionów butelek tego trunku podrabianego. „Prawo u nas — mówi on — daje obszerne pole fałszowaniu win. Gdy za granicą istnieje mnóstwo rozporządzeń, ochraniających zdrowie publiczne pod względem nadzoru nad przemysłem, u nas za pozwoleniem policyi i cenzury, a więc z wiadomością i za zgodą nadzoru prokuratorskiego, wydawane są książki w rodzaju recept Wiesenthala, a na wystawach rozdawane ogłoszenia Friedmana, z propozycyą kupienia za 25 kop. esencyi, która butelkę lichego wina krajowego lub soku owocowego, zamienia na cypryjskie, maderę, reńskie i t. p. W znacznie większych rozmiarach zakupują żydzi wina besarabskie po bajecznie niskich cenach 50 — 70 kop. za wiadro, wysyłają do gubernij polskich i do Rygi dla przyrządzenia z nich wszelkich gatunków win europejskich. Jeżeli dodamy, że niektóre firmy w Moskwie, Jarosławiu i Niższym Nowogrodzie znane są z fabrykacyi win fałszywych i miewają setki tysięcy rubli rocznego obrotu, to trudno zaprzeczyć, że fałszerstwo u nas kwitnie więcej niż w innych krajach, pominąwszy już nawet firmy obce, które rozpowszechniają zagraniczne wina fałszywe i same zajmują się podrabianiem." Do Moskwy w r. 1890 sprowadzono ogółem 510,000 wiader, a wywieziono w tym samym roku 879,970. Stąd łatwy rachunek; należy tylko uczynić proste odejmowanie, ażeby się przekonać, że jedna Moskwa wyrobiła 369,970 wiader, oprócz znacznej ilości, wypitej w samem mieście. Według p. Mintzlowa, do wielkich ognisk fałszerstwa należą: Petersburg, Ryga, Warszawa i Odesa. Z szeregu świeżo wydanych cenników dr. Polak zaznacza szczegół znamienny: firmy krajowe sprzedają hurtownie i cząstkowo wina zagraniczne po cenach, wynoszących zaledwie koszt cła i przewozu; np. węgierskie wytrawne po 60 kop. butelka, słodkie węgierskie po 50 butelska, maślacz po 80 kop., Tokaj z r. 1882 po rs. 1,20, francuskie Medoc po 40 kop., tj. mniej, niż wynosi transport i cło; Chabilis po 50, madera i reńskie malaga po 75 kop. My, spożywcy, jesteśmy ofiarami nietylko fałszerzy krajowych, ale i zagranicznych, gdyż dość surowe prawo na Zachodzie dla dostawców win, podrabianych u siebie, jest łagodne względem trunku wywożonego. Szczególnie Hamburg i Londyn, dostarczają nam takich produktów. Wina rosyjskie idą także za granicę, ale po to, żeby do nas wrócić w postaci „ulepszonej," jako wyższe gatunki.

Jakież są sposoby zaradzenia złemu? Dr. Polak żąda przedewszystkiem prawa dla poskramiania podrabiaczów. Za granicą hamulce takie oddawna wprowadzono. W Niemczech np. fałszerze podlegają karze więzienia do sześciu miesięcy i grzywnie do 1.500 marek. Prawo hiszpańskie uważa za wino tylko napój, przyrządzony z soku winogronowego, bez obcych domieszek. Mniej więcej podobne obostrzenia istnieją w innych krajach, określające części składowe produktu. Prawo rosyjskie wyznacza karę więzienia najwyżej do 3 miesięcy lub grzywnę do 300 rs. za wyrób albo sprzedaż szkodliwych i zepsutych produktów. Za oszustwo uważane jest fałszowanie pod względem miary, wagi i wogóle ilości i jakości towarów. Jest wszakże trudne stosowanie tego prawa do podrabiania win. Dr. P. całkiem słusznie uważa za rzecz pożądaną, aby wszelkie bez wyjątku, najniewinniejsze nawet dodatki, mianowicie po fermentacyi, były oznaczane obowiązkowo na winach. Ale pozwalanie domieszek cukru i wyskoku za granicą, bez oznaczenia tego na etykietach, utrudnia całą sprawę, więc można byłoby ją załatwić skutecznie tylko na drodze prawodawstwa międzynarodowego. Nie trzeba wszakże się łudzić, że ten środek byłby zupełnie stanowczym. Należy więc *oświecać* ogół. „Smak średniej publiczności naszej — mówi autor — sprzyja mocno zafałszowaniom wina; głównie chodzi jej o słodycz napoju, a właśnie wina słodkie najczęściej są fałszowane i cukier czyni cechy subtelne mniej wyraźnemi; nadto słodkie naturalne są bardzo drogie." To też autor gorąco doradza wstrzymać się zupełnie od używania wina, a zastąpić je piwem, winem owocowem lub w małej ilości—wódką. Upadek produkcyi miodu również

wpłynął na rozszerzenie spożycia „trunków szlachetnych.“ A jednak kraj nasz posiada bardzo przyjazne warunki dla rozwoju pszczelnictwa i miodosytnictwa. Warto, ażeby najmłodsze Towarzystwo rozwinęło swoje usiłowania w tym zakresie.

W DALI.

Łódź. Według doniesień *Warsz. Dn.*, sprawa budowy tramwajów w Łodzi tak się przedstawia: ze względu na znaczką liczbę, bo aż dwunastu spółzawodników, starających się o koncesyę, gubernator piotrkowski projektuje ogłoszenie konkursu, z warunkiem, aby pierwszeństwo otrzymał przedsiębiorca, mogący zapewnić miastu korzystniejsze warunki. Ażeby uniknąć udziału aferzystów, pracujących tylko dla „odstępnego,“ proponowane jest dopuszczenie jedynie tych firm, które złożą 100,000 rs. kaucyi. Po za tem pismo powyższe słyszało, iż zamiast kolei konnej będą tramwaje elektryczne i że sprawa, błądząca od sześciu lat w dziedzinie projektów, przejdzie wkrótce do czynu. — Obok tego działu udogodnień, mieszkańcy Łodzi z wielkiem upragnieniem wyczekują kanalizacyi, która przecież należy do spraw najpilniejszych i najważniejszych. Niedawno w tym interesie przyjeżdżał już przedstawiciel poważnej firmy inżeniersko-technicznej i odbył z fabrykantami naradę. Fakt ten przechodzi z ust do ust, ale nie daje jeszcze żadnych nadziei rychłego urzeczywistnienia marzeń zainteresowanej ludności. Jednocześnie pod przewodnictwem prezydenta miasta odbyło się posiedzenie ze współudziałem fabrykantów, na którem naradzano się nad sposobami oczyszczania odpływów fabrycznych. Rozpisano konkurs na plan przy uwzględnieniu systemu filtrowego. — *Tydzień* obwieszcza projekt połączenia telefonicznego Piotrkowa z Łodzią.

Sosnowice. Towarzystwo sosnowickie kopalni węgla i zakładów górniczych objęło w posiadanie kopalnię milowicką, najbogatszą i najzyskowniejszą w zagłębiu dąbrowskiem. Tym sposobem stowarzyszenie to, powstałe na gruzach gwarectwa von Kramsty, posiada dziś prawie połowę produkcyi węgla. Na tem wszakże nie chce ono poprzestać i podobno dąży do nabycia kopalni sieleckiej. Wtedy obejmie $^2/_3$ produkcyi ogólnej i wydobywać będzie około 700 wagonów węgla dziennie. Powstała więc obawa, że ten olbrzym kapitalistyczny dąży do zmonopolizowania całej produkcyi w zagłębiu. Strach wytwarza nawet obraz niedalekiej przyszłości: znaczne podniesienie cen węgla. Tymczasem z łona towarzystwa, czy też jego zwolenników, wychodzą wprost przeciwne zapewnienia.

Lublin. Dobra lubartowskie kupiła od Banku państwa księżna Naryszkina za 525,000 rs.— W całej gubernii przystąpiono do stosowania środków, mających na celu naprawę warunków zdrowotnych. W pow. zamojskim utworzono komitet sanitarny, do którego powołano przedstawicieli władz cywilnych i wojskowych tudzież wybitniejszych obywateli. — Jeden z ziemian gub. lubelskiej podobno zwrócił się do ministeryum rolnictwa i dóbr państwa z prośbą o koncesyę na budowę kolei wązkotorowej od Chełma do Tomaszowa. Linia ta przeszłaby przez Wojsławice, Grabowiec, Tyszowce i Zamość. — Urzędowe sprawozdania o stanie urodzajów w gubernii są pomyślne. Panują deszcze pożądane; grady nawiedziły tylko gminy: Kotlicze, Rachanie i Krynica w pow. tomaszowskim, gdzie zniszczyły zboże na przestrzeni 437 morgów. W Gminie Miączyn szkody są mniejsze.

Kalisz. Miasto zupełnie upośledzone pod względem komunikacyjnym, nareszcie doczeka się udogodnienia. Po długich projektach, zawodach i wreszcie — utracie wszelkiej nadziei, Kalisz będzie odległy w niedalekiej przyszłości, (tylko... o siedem wiorst od kolei żelaznej, (Skalmierzyce), bo już 15-go lipca w Ostrowie położono kamień węgielny pod plant i dworzec linii, a dn. 18-go przystąpiono do budowy. Drugim krańcowym jej punktem będą Skalmierzyce. Cała droga ma być zupełnie gotowa 1-go czerwca r. p. — Wkrótce ma się odbyć w Kaliszu wystawa przemysłowa, fabryczna i rolnicza, na której będzie przedstawiony przemysł, rękodzielnictwo i gospodarstwo wiejskie z gub kaliskiej. Wybrano już komitet oddziału rolniczego. — Powstaje tu Towarzystwo opieki nad zwierzętami.

Wilno. W Kienach pod Wilnem niemiec Hoffmann wziął się do eksploatacyi torfu. Praktyka atoli dowiodła, że na ten produkt dziś jeszcze zawcześnie. Wydobywanie jego dość kosztowne, w stosunku do drzewa jest on materyałem droższym. Tak więc owe bogactwa olbrzymie muszą jeszcze długo spoczywać w spokoju, dopóki koleje żelazne nie wprowadzą obowiązkowo tego galiwa. Obecnie, według doniesień prasy rosyjskiej, władze ministeryalne zwróciły uwagę na tę kwestyę i kto wie, czy torf nie wejdzie w użycie do parowozów. Tylko taka obowiązkowość może pobudzić do eksploatacyi i zachować lasy, znacznie przetrzebione w okolicach kolejowych. Obywatel ziemski z pow. wileńskiego, p. Korecki, posiada w swych dobrach olbrzymie pokłady torfowe, które, jak stwierdziły badania specyalistów, mogą wystarczyć na lat 50 dla całej gubernii. Właściciel wyraził gotowość dostarczania tego opału kolei Libawsko-Romeńskiej.

Petersburg. Podobno w stolicy utworzyło się towarzystwo akcyjne dla eksploatacyi siły wodospadu Imatra. Za pośrednictwem drutu Petersburg otrzyma wielką siłę elektryczną do najróżnorodniejszego użytku. Opłata za korzystanie z lampki o sile 16 świec, będzie nadzwyczaj przystępną, bo tylko — kopiejkę za godzinę. — Rosyjskie Towarzystwo chirurgiczne im. Pirogowa wkrótce zajmie się urządzeniem Muzeum anatomiczno—chirurgicznego. Na ten cel skarb państwa przeznaczył 30,000 rs. — Przed kilku tygodniami zakończył życie znany podróżnik, dr. A. Elisiejew. Jako lekarz, zaskarbił on ogólną sympatyę i wdzięczność, gdyż ubogich nietylko leczył bezpłatnie, ale częstokroć wspierał. Nieprzeparty pociąg do podróży czuł od dzieciństwa. Jeszcze będąc uczniem, poszedł pieszo z Petersburga do Finlandyi; później zwiedził całą dziką, nieprzystępną północ Rosyi. Głównie zaś interesowały go mało znane ludy. Swoje ciekawe podróże opisał w trzech tomach. Nadto zabierał głos nieraz w kwestyach różnorodnych, jako publicysta.

SPRAWY EKONOMICZNE

PARCELACYA.

III.

Już poprzednio zaznaczyliśmy, że w ruchu parcelacyjnym ważną rolę gra pośrednictwo, z którego wytworzyły się rzesze aferzystów. Ani o ich liczbie, rodzaju, ani dochodach, nie znajdziemy danych w żadnych sprawozdaniach statystycznych. Luźne atoli fakty, pośrednie zjawiska i wywody każą wnioskować, że jest to czynnik poważny, bardzo ujemnie oddziaływający na interesy zarówno odłużonych syrzedawców jak i nabywców. Jakie z tego źródła czerpią aferzyści dochody, nie można również w dokładnych cyfrach określić. Przypuszczać tylko trzeba, że muszą one być znaczne. Z obrachunków Towarzystwa kredytowego wiadomo, że ziemia jest sprzedawana w ostatnich latach mniej, niż po 40 rs. za morg, włościanie zaś płacą po 60 rs. Tak więc 20 rs. na morgu jest pięknym zarobkiem osoby trzeciej — spekulanta. Przy tem zestawienie tylko tych dwóch cyfr najwymowniej dowodzi, że majątki skazane na sprzedaż, bywają nabywane po to, ażeby je korzystnie zbyć sposobem dzialkowania.

Przyjrzyjmy się innym cyfrom. Nadmierne odłużenie, uciekanie się do parcelacyi przy wielkiem zachwianiu interesów — są to zjawiska, prowadzące do logicznego wniosku, że większość sum, wypłacanych ze sprzedaży cząstkowej, muszą zabierać wierzyciele. W rzeczywistości atoli dzieje się inaczej. Według sprawozdania z r. 1893, po sprzedaży z sumy szacunkowej w Królestwie Polskiem dostali; Towarzystwo kredytowe ziemskie 542 tysiące rs. (setki opuszczamy), wierzyciele prywatni 470 tys., właściciele sprzedający 826 tys. W guberniach zachodnich te trzy pozycye idą w takim stosunku: 103, 2, 376 tys.; w południ.-zachodnich: 214, 23, 728 tys.; w całem Cesarstwie: 1548, 243, 4167 tys. (Po za granicami Królestwa w pierwszej rubryce figurują banki ziemskie). Jaskrawiej różnice wychodzą w procentach: W Królestwie Polskiem Towarzystwo kredytowe dostało 29,2%, wierzyciele prywatni 25,3%, właściciele sprzedający 44,4%; w guberniach litewskich: 21,4%, 0,5%, 7,80%; białoruskich: 23%, 4%, 72,1%; południowo-zachodnich: 22,1%, 2,4%, 75,1%; w całem Cesarstwie: 25,7, 4, 69,1%.

Z zestawienia tych danych, p. Bloch, pamiętając o wielkiem odłużeniu ziemi, przypuszcza, że znaczna część, sięgająca może ćwierci sumy, za którą włościanie nabyli grunty przy pomocy banku swego, stanowi zysk nabywających majątki na sprzedaż. Ponieważ ta suma wynosi blizko cztery miliony rubli, więc kto wie, czy rolnicy wywłaszczeni oraz ich wierzyciele hypoteczni nie stracili jakiegoś miliona rubli wskutek niepomyślnej sprzedaży. Jest-to przypuszczenie bardzo skromne, gdyż pomijając już tranzakcye przy pomocy Banku włościańskiego, obrotni handlarze mają częstokroć bajeczne zarobki na dobrach, sprzedawanych przez ziemian. Czasem jakiś kawałek lasu daje takiemu aferzyście trzy razy więcej, niż wynosi cała suma, którą zapłacił za majątek. Następnie po rozparcelowaniu części gruntów ornych, również otrzymuje znaczne sumy i sam pozostaje przy najpiękniejszym kawałku z zabudowaniami. To zdaje się jedyna metoda „gospodarki,“ która pozwala z tej „nieopłacającej się“ ziemi ciągnąć zyski — aptekarskie. Oczywiście są one oparte na „korzystaniu z okoliczności.“ Aferzysta przychodzi z kapitałem i nabywa ziemię od zbankrutowanego rolnika. Następnie, jako kapitalista, może spokojnie wyczekiwać stosownych chwil, parcelować ziemię chociażby przez lat parę, na las wynaleźć kupca dobrego lub bezpośrednio zająć się przerobieniem materyału surowego i dostawą na wielkie rynki. (Wszakże dziś jeszcze w zupełności opłaca się budowanie chwilowych tylko tartaków parowych i wązkotorówek). Ale do tego potrzebne są ważne warunki: temperament, obrotność, zdolność kupiecka i siła ekonomiczna. To są tajemnice wszelkich zysków z ziemi, ale nie w postaci przemysłu rolnego, lecz handlu i to nie produktami, czerpanymi z gruntu, lecz samą ziemią. Prawda, że nie są to wypadki codzienne, ale o tyle znaczne, że muszą zaważyć na ogólnych interesach rolnictwa. Możeby ten obraz w pełnych i niewątpliwych cyfrach przedstawił się przerażająco. Na „szczęście“ cyfr takich nie mamy, więc możemy pod tym względem nie tracić ducha, jak w długim marszu żołnierz, który wyobraża, że armia na przedzie ściera wroga na proch, gdy w rzeczywistości sama rozbita ratuje się ucieczką. W błogiej nieświadomości poprzestajemy tylko na luźnych szczegółach, które pozwalają widzieć rzeczywisty obraz przez drobne otworki przesuwającej się zasłony, i — albo się łudzić, albo wyprowadzać groźne wnioski.

Zajrzyjmy jeszcze przez taki migocący się otworek, dla wyraźniejszego zarysowania warunków pośrednictwa: Z wyliczeń na zasadzie danych hypotecznych p. J. Bloch wykazał, że prywatne długi dźwiga na sobie 77,7% całego obszaru.

Śród ziemi sprzedanej r. 1893, tylko na 15% ciężyły te należności. W r. 1891 sprzedany obszar bez długu wynosił 12%, w r. 1892 — 27%. Tu więc udział pośrednictwa wyraźnie się zaznacza. „Niepodobieństwem jest — powiada p. B. — aby na sprzedaż szła w tak wielkiej stosunkowo ilości ziemia bądź nieodłużona wcale, bądź obarczona nieznaczną należnością Towarzystwa. Poprostu przypuszczać należy, iż przy sprzedaży na licytacyach, a więc i przy innych tranzakcyach, część wierzycieli całkowicie lub częściowo, traciła swój kapitał.“ Godnym jest zanotowania jeszcze ten fakt, że 85,5% majątków przed sprzedażą parcelantom już przechodziło z rąk do rąk.

P. Bloch w końcu swej pracy, wielce ciekawej, przychodzi do wniosków ogólnych. Przedewszystkiem kładąc nacisk na dość ograniczoną dotychczas działalność Banku włościańskiego, zalicza do najważniejszych przeszkód w tej mierze dążność do udzielania pożyczek najpierw spółkom, a potem dopiero jednostkom, jak gdyby w formie wyjątku. Nie będziemy spierać się w tym względzie, bośmy już wcześniej wypowiedzieli swój pogląd na owe warunki. Godzimy się atoli na to, że zbyteczna ostrożność instytucyi ujemnie wpływa zarówno na jej rozwój, jak i interesy pożyczkobierców. Stąd właśnie wynika ta znamienna sieć formalistyczna, przez którą mogą się przecisnąć tylko silniejsi, a więc innego rodzaju aferzyści w skórze chłopskiej. Bank włościański z własnych sum dawać może w Królestwie pożyczkobiercom 75% sumy szacunkowej i jeszcze 15% z funduszu użyteczności publicznej, czyli razem 90%. Zatem z kredytu powinniby korzystać nietylko ci, którzy mają własne zasoby jakie takie, lecz niemal wszyscy inni włościanie. Kredyt przytem jest bardzo dogodny, bo amortyzacya z procentami wynosi 7½ — 8½ rocznie (w ratach sześciomiesięcznych). Nadto przewidziane są ulgi. Wszystko to wszakże spoczywa przeważnie w sferach teoryi. Bank w zakresie swej działalności posiada nadzwyczajne warunki. Lecz nawet gdyby puścił w ruch całą swą machineryę, pobudzoną dotychczasowemi ulgami, jeszcze nie zaspokoiłby wszystkich potrzeb życia danej sfery. P. Bloch zwraca uwagę na to, że kraj liczy około 50,000 rodzin drobnej szlachty na 900,000 morgów własnego gruntu. W niektórych okolicach ludność ta posiada połowę ziemi nieobjętej tabelami likwidacyjnemi (powiaty: mazowiecki, ostrołęcki, kolneński, siedlecki, przasnyski i łomżyński). Pod względem ekonomicznym znajduje się ona bodaj w gorszem położeniu niż włościanie. Jest zabiegliwa, pracowita, ale na każdą rodzinę wypada przeciętnie niecałe dwa morgi gruntu. Potrzebuje więc taniego kredytu, lecz ustawa banku pozwala przychodzić z pomocą tylko włościanom i mieszczanom rolnikom. Przytem i dla włościan w wielu razach jest to instytucya niemal niedostępna. W całem Królestwie Polskiem posiada ona tylko cztery oddziały: warszawski, (gub. warszawska, płocka, radomska); łomżyński (gub. łomżyńska, suwalska); lubelski (gub. lubelska, siedlecka) i piotrkowski (gub. piotrkowska, kaliska i kielecka). Przy takim stanie rzeczy nawet względy czysto komunikacyjne częstokroć muszą stać na przeszkodzie. Np. wielce jest trudna podróż z okolic Kalisza do Piotrkowa, z braku kolei żelaznej. Zwiększa to koszt i pochłania dużo czasu. Pan Bloch zaznacza te słabe strony, na które dawniej w *Prawdzie* kładliśmy nacisk: „Dostanie pożyczki wymaga kosztów i zachodów, gdyż Bank, jako instytucya rządowa, zależna od władz centralnych, przy najliberalniejszej nawet tendencyi jeszcze musi działalność swoją prowadzić wedle pewnych ścisłych przepisów, przestrzegać wszelkich nakazanych formalności.“ Ponieważ przytem nie brak ani chętnych nabywców śród drobnych posiadaczów, ani ziemi, czekającej na kupca, więc autor proponuje rozwiązanie kwestyi w taki sposób, ażeby Towarzystwo kredytowe ziemskie rozszerzyło swoją działalność w tym zakresie. Byłoby to „lepiej dla włościan, lepiej dla ziemian, sprzedających grunty, lepiej dla rolnictwa krajowego i całego społeczeństwa.“

W chwili gdy to piszemy, z Petersburga dochodzą już nie zwykłe, sprzeczne pogłoski, lecz pewne szczegóły o reformie Banku włościańskiego, dające poniekąd pojęcie, jaką drogą pójdzie nadal ta instytucya i jakie niedokładności będą usunięte. Wszystkie przedstawione dotąd projekty stanowczo odrzucono, a natomiast utrzymał się jeden — podany przez ministeryum skarbu, który już spoczywa w ostatniej instancyi prawodawczej: radzie państwa. Godnem uwagi jest to, iż w nowym projekcie tkwi dążność do zlania Banku włościańskiego ze szlacheckim. Proponowanej organizacyi z bezpośredniego źródła jeszcze w całości nie znamy. Jeżeli wszakże pojedyncze szczegóły są dokładnie podane przez *Birżewyja Wiedomosti*, to istotnie ten jeden fakt już ma doniosłe znaczenie. Gdy bowiem obie powyższe instytucye połączą swą działalność, to niewątpliwie uwzględnią one potrzeby tych mas, których obecnie zaspokoić nie można, a więc i drobna szlachta i nie rolnicy, pragnący ziemię nabyć, może łatwiej kredyt znajdą. Drugim ważnym szczegółem jest właśnie dążność do usunięcia jednego z najuciążliwszych warunków: dopełniania sumy pożyczonej własnymi środkami dla kupna gruntów. Otóż zdaniem ministeryum skarbu, zabezpieczenie pożyczek powinno polegać głównie na właściwej ocenie ziemi nabywanej. Na mocy przepisów, cena jest określona w tych razach na podstawie specyalnego oszacowania; wedle zaś normalnego tylko w wyjątkowych wypadkach i to przy usilnych zabiegach pożyczkobierców i gdy już nie ma żadnej wątpliwości, że wartość nabywanego gruntu nie jest niższa od szacunku normalnego. Specyalne szacowanie nie będzie, jak dotąd, należeć do organów gminnych czy ziemskich, lecz do samego Banku, przyczem za zasadę muszą być przyjęte cechy przyrodzone ziemi, o ile można, miejscowe warunki ekonomiczne, które wywierają stały wpływ na intratność gruntów. Nadto powinny być brane pod uwagę średnie ceny sprzedaży pokrewnych obszarów danej miejscowości tudzież przeciętny dochód kilkoletni z działek, nabywanych za pośrednictwem istytucyi kredytowej. Rozmiary pożyczki nie mogą przewyższać ceny sprzedażnej, umówionej między sprzedawcą a nabywcą.

Pomijamy inne szczegóły tudzież rygor ściągania należności; pomówimy o tem z czasem, gdy ustawa będzie całkowicie ogłoszona. Obecnie chodzi nam o samą ideę i dążność zmian, wywołanych przez kilkoletnią praktykę i stwierdzenie w wielu razach niezgodności przepisów z istotnemi potrzebami życia. Czy reforma usunie wszystkie braki i zaspokoi wszelkie żądania ludności, o tem dziś jeszcze za wcześnie sądzić. To tylko winniśmy zaznaczyć, że sprawa parcelacyjna w całej swojej rozciągłości nie może wejść na tory prawidłowe jedynie za pomocą instytucyi kredytowej, przychodzącej wprawdzie z całym aparatem przepisów i znacznym zasobem funduszów, ale nie ze znajomością rdzennych potrzeb i warunków danej okolicy. Parcelacya powinna być świadomie zorganizowana i przedewszystkiem oparta na wiarogodnych stałych informacyach; więc oprócz statystyki szablonowej, potrzebne jest to rzetelne badanie wszelkich zjawisk, szukanie przyczyn i warunków przyjaznych dla rozrostu spekulacyi. Słowem niezbędna jest nietylko pomoc materyalna instytucyi finansowej, lecz i moralna — ogółu. Gdy zniknie, a przynajmniej osłabnie pasorzytnicze pośrednictwo, gdy kredyt nie będzie połączony z kosztem, trudnościami i stratą czasu, gdy stor parcelacyjny (za wcześnie mówić — w jakiej formie) doskonale będzie wiedział, gdzie i na jakich warunkach i jakie grunty są do sprzedania, kto i z jakich pobudek je sprzedaje, gdy odpowiednio będą skierowane rzesze nabywców, — wtedy dopiero parcelacya stanie się w rolnictwie do pewnego stopnia dźwignią, ważnym czynnikiem w rozwoju ekonomicznym ludności włościańskiej i mieszczańskiej na roli, a wreszcie będzie środkiem ratunku dla ziemian zachwianych. Odcięcie części dóbr na sprzedaż działkową może względem większych posiadaczy odegrać taką rolę, jak wzmacnianie drzewek owocowych i krzewów za pomocą nożyc ogrodniczych.

Drog.

Chmiel. Plantatorowie chmielu w Królestwie Polskiem i gub. wołyńskiej, otrzymawszy od ministra skarbu odpowiedź odmowną na prośbę o podniesienie cła wchodowego od chmielu, poruszyli obecnie sprawę unormowania produkcyi wobec złego wogóle położenia rynków chmielarskich. Chcąc zapobiedz nadprodukcyi, zalecają oni przedewszystkiem wstrzymać się na pewien czas od zakładania nowych plantacyi. Prócz tego wszyscy wytwórcy rosyjscy powinni zawiązać syndykat. W ten sposób posiądą środki przerabiania chmielu surowego na produkt, dający się lepiej zachowywać, tudzież będą mogli zabezpieczyć się od wyzysku piwowarów.

— Z wprowadzeniem (d. 13 lipca r. b.) nowej ustawy państwowych kas oszczędności, procent rs. 2 kop. 40 płacony będzie instytucyom, posiadającym wkład od 1,000 do 3,000 rs. Osoby prywatne, składające częściowo swe kapitały do rs. 1,000, pobierać mają rs. 3 k. 60. Kapitały zaś, przewyższające rs. 1,000, lokowane będą za zgodą właściciela książeczki w papierach procentowych i mogą być przechowywane w kasie oszczędności bez względu na wysokość normy dla jednej osoby przepisanej i do czasu zażądania zwrotu.

— Wyspa Formoza, dostarczycielka kamfory dla całego świata, po przejściu pod władzę Japonii została otoczona kordonem celnym, nakładającym nadzwyczaj wysokie cło od kamfory, skutkiem czego wywóz jej prawie zupełnie ustał. Przewidywane więc jest ogromne podrożenie tego produktu.

KRONIKA.

Sprawy społeczne. W ministeryum sprawiedliwości opracowano projekt przekształcenia kary zesłania. Uznano za możebne wyłączyć ją z szeregu odpowiedzialności kryminalnych. Zsyłani będą tylko przestępcy ze stanu uprzywilejowanego i to do najodleglejszych miejscowości w północnych guberniach Syberyi.

— W Radomiu żydzi tworzą Towarzystwo bratniej pomocy dla biednych chorych współwyznawców.

Szkoły. Nowy wspaniały gmach dla potrzeb wydziału lekarskiego w Krakowie, po wakacyach będzie oddany do użytku. Nosi on nazwę *Collegium medicum*.

— W zakładzie p. Bronisławy Wiesiołowskiej w Warszawie kurs rysunków technicznych ukończyło około 20 kobiet. Podobno większa ich część znalazła pracę w biurach inżenierskich i budowlanych.

— Gubernialny zarząd ziemski w Charkowie wprowadził kursy ruchome, które obejmą wykład początkowy sadownictwa, ogrodnictwa, chmielarstwa i pszczelnictwa.

— Towarzystwo muzyczne w Warszawie od d. 5 września otwiera klasę organów z kursem dwuletnim.

— Instytut rolniczy w Nowej Aleksandryi na 60 miejsc wolnych otrzymał dotąd 170 podań.

Zdrowie publiczne. W gub. wołyńskiej od 30 czerwca do 6 lipca zapadło na cholerę osób 59, zmarło 10. Epidemia panuje w powiatach: zasławskim, ostrowskim i starokonstantynowskim w miejscowościach: Białów, Lubartów, Szepetówka, Sławuta i innych.

Koleje i komunikacye. Departament spraw kolejowych ogłasza, że za przejazd w wagonach wszystkich trzech klas dzieci w wieku od lat 5 do 10 pobierana będzie opłata w rozmiarze ¼ ceny biletu pasażera dorosłego.

— Dotychczas wybudowano już kolei Syberyjskiej 1,643 wiorsty, czyli ¼ całej linii. Na wszystkich dystansach pracowało 70,225 robotników.

— Od r. 1897 mają być wprowadzone na kolejach obowiązkowo podkłady drewniane, nasycone substancyą przeciwgnilną. Skutkiem tego powstaną specyalne fabryki w Moskwie, Kijowie, Charkowie, Orle, Tule i Saratowie.

Dobroczynność. Rada miejska dobroczynności publicznej zatwierdziła zapis Emilii Fuklerowej, 7,500 rs. na rzecz kasy wsparć lekarzy ubogich, ich wdów i sierot (przy Tow. lekarskiem w Warszawie) i 1,950 rs. dla Schronienia nauczycielek.

Wystawy i zjazdy. Z powodu setnej rocznicy wynalezienia litografii, w Paryżu odbędzie się międzynarodowa wystawa litograficzna.

— W Wiedniu otwarto piąty kongres stenografów niemieckich.

— W Płocku odbędzie się wystawa koni wierzchowych, zaprzęgowych i roboczych, d. 1, 2 i 3 października.

Wypadki. Pod Spezzia spotkały się parowce włoskie „Ortigea" i „Maria." Ostatni zatonął ze 148 pasażerami.

— W Rokitnie zgorzało 40 domów mieszkalnych i 32 stodoły.

— Z Pragi czeskiej donoszą, iż w kopalni pod Brüx wielkie pokłady piasku zasypały szyb „Anny," pobliskiej kopalni węgla brunatnego. Jednocześnie w mieście zapadło się sporo domów. Są ofiary w ludziach. Straty materyalne — 2 mil. złr.

— Z Budapesztu donoszą, iż pod Miskolczem pociąg towarowy spadł z mostu. Zginęło 2 ludzi.

Zmarli. Zbigniewa Zmorska, w Warszawie, powieściopisarka i nowelistka. Umieszczała swoje utwory w *Kłosach, Tygodniku mód i powieści, Przyjacielu dzieci, Wieczorach rodzinnych.*

— Stanisław Werner, w Warszawie, technik. Pisywał rozprawy specyalne.

— Dr. Władysław Drużyłowski, w Płocku, lekarz, autor prac specyalnych, zamieszczanych w *Kronice lekarskiej.* Przełożył „Zdobycze Anglii" Thierrego „Opis ziemi" Reclus'a.

Odpowiedzi Redakcyi.

Stachowi we Lwowie. Nie dla nas.

Panu Wian. w R. Gramatyka Maleckiego lub Bema.

Niejuli. Nietłomaczona. Innych nie wskazujemy dlatego, że prawdopodobnie chciałaby Pani zużytkować swój przekład w druku, a to byłoby bardzo trudnem. Szkoda marnować pracy i lepiej przedtem się upewnić.

Panu W. Kr. Odpowiedzi szybkiej otrzymać Pan nie może. I redaktorowi *Prawdy* należy się w ciągu lata bodaj kilkotygodniowy wypoczynek.

OFIARY.

Zaległy dług pana P., urzędnika kolejowego, w ilości rs. 10, przeznacza na wpis dla niezamożnego ucznia dr. Palmirski.

Redaktor i Wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 14 Іюля 1895 г. Druk K. Kowalewskiego, ul. Mazowiecka, Nr. 8.